

KRESOWIAK GALICYJSKI

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNO-INFORMACYJNY POWIATU LUBACZOWSKIEGO

Nr 8 (81)

sierpień 2003 r.

Cena 1,70 zł

EDWARD KRUKOWSKI

1939-2003

Znowu odszedł jeden z tych, którego znałem niemal przez całe życie. Oto rodzina, przyjaciele, współpracownicy pożegnali na rzeszowskim cmentarzu doktora Edwarda Krukowskiego. Od ponad 30 lat kierował sanatorium „Metalowiec” w Horyńcu, ale ja zaprzyjaźniłem się z nim jeszcze w czasie naszej młodości, gdy jako świeżo upieczony lekarz objął w Cieszanowie kierownictwo Gminnego Ośrodka Zdrowia. Czasy, w których przyszło mu pracować nie były dla lekarzy łatwe. Łazienki w domach na wsi należały do rzadkości, a do doktora udawano się dopiero wówczas, gdy domowe metody leczenia zawodziły.

Edward od samego początku podszedł do swej pracy z pasją i oddaniem. W jego postawie wobec pacjentów nie było dystansu i wyniosłości tak charakterystycznych dla innych lekarzy. Był bezpośredni w kontaktach i szybko sobie zjednywał sympatię pacjentów. Jak mówi jeden z nich – już po minucie czułem się tak jak bym spotkał bliskiego znajomego. Potrafił nie tylko leczyć, umiał też rozmawiać i słuchać. Był lekarzem „na zawołanie”. Chorym spieszył z pomocą o każdej porze dnia i nocy. Nawet po wyleczeniu nie zrywał z nimi kontaktu. Często spotkawszy pacjenta na ulicy, w sklepie pytał o stan zdrowia, doradzał dalszą kurację. Lecząc nie koncentrował się jedynie na objawach choroby, ale zawsze sięgał do jej przyczyn. Diagnoza poprzedzana była wnikliwym badaniem, bo unikał przypadkowych decyzji, a w sytuacjach skomplikowanych, budzących wątpliwości nie wahał się kierować chorego do szpitala lub do kliniki. Nie dziwi więc, że przyłgnęło do niego już wówczas określenie „nasz doktor”. Dramat ciężko chorego pacjenta był również jego dramatem.

Pomimo że, otaczała go życzliwość, szacunek i zaufanie pacjentów stale się uczył, dążył do zdobycia większego doświadczenia. Poglębiał swoją wiedzę teoretyczną i praktyczną dyżurując w szpitalu, pogotowiu, otwierając specjalizację. Miał wszechstronne zainteresowania. Obok



literatury fachowej czytał też klasykę, interesował się historią, polityką. Gdy inni młodzi lekarze oszczędzali na budowę domu czy kupno samochodu, Edward poznawał świat. Zwiedził niemal wszystkie kraje Europy, był też na Bliskim Wschodzie. Pamiętam że podczas wspólnej studyjnej wycieczki do Szwecji interesował się wszystkim co nas otaczało, co było nowe inne, jak zasypywał przewodnika wnikliwymi pytaniami.

Autorytet, który zdobył w Cieszanowie zadecydował niewątpliwie, że powołano go na dyrektora sanatorium „Metalowiec” w Horyńcu. Przez ponad 30 lat zmagał się z problemami tego przedsiębiorstwa, a okres jego szefowania przypadł na bardzo zmienne, wręcz burzliwe lata. Był dyrektorem w czasach PRL-owskiej reglamentacji, kiedy o każdą tonę węgla, kilogram cukru czy mięsa trzeba było zabiegać. Był dyrektorem w czasach transformacji ustrojowej, kiedy brakowało pieniędzy na utrzymanie i placówce groziło widmo likwidacji. Był wreszcie dyrekto-

(c.d. na str. 3)

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

Przejście graniczne Budomierz-Hruszew coraz bardziej realne

Od 10 lat władze powiatu lubaczowskiego podejmują starania o utworzenie przejścia Budomierz-Hruszew. Już w 1999 roku minister spraw zagranicznych RP wystosował notę dyplomatyczną do Ambasady Ukrainy w Warszawie, w której nawiązywał do art. 7 umowy pomiędzy Rządem RP a Rządem Ukrainy w sprawie przejść granicznych która proponuje utworzenie drogowego przejścia granicznego Budomierz – Hruszew dla międzynarodowego ruchu pieszego, samochodów osobowych, autobusów i samochodów ciężarowych o ładowności do 3,5 tony z wyłączeniem towarów podlegających kontroli weterynaryjnej i sanitarnej.

Władze Ukrainy 10 października 2002 roku wystosowały do ambasady Polskiej w Kijowie notę dyplomatyczną, w której proponują rozpatrzenie możliwości utworzenia na polsko-ukraińskiej granicy lokalnego przejścia granicznego Hruszew-Budomierz, godząc się równocześnie że będzie ono budowane po Polskiej stronie.

Rada powiatu zwróciła się do prezydenta RP, ministra spraw zagranicznych o podjęcie skutecznych szybkich decyzji. Władze powiatu podjęły już szereg działań celem utworzenia przejścia. Odbyto szereg konferencji, nawiązano kontakty, została podpisana umowa o współpracy powiatu lubaczowskiego z powiatem jaworowskim. Zadanie uruchomienia przejścia ujęte jest w strategii rozwoju województwa podkarpackiego. W budżecie na 2003 rok wojewoda podkarpacki na prace projektowe i wykup gruntów przeznaczył 450 000 zł.

Dni Narola

Uroczystą sesją Rady Miejskiej w Narolu w dniu 11 lipca rozpoczęły się Dni Narola. W jej ramach ogłoszone zostały referaty przez prof. Stanisława Obirka, Stanisława Bańcarza i Szczepana Okrucha który mówił o walorach środowiska naturalnego gminy.

W drugim dniu odbył się Cesarsko-Królewski Jarmark Galicyjski. Na jego program złożyły się m. in. występy zespołów artystycznych. Wśród nich był chór „Felicjo” wraz z kapelą z Nadwirnej (Ukraina). A w godzinach wieczornych wystąpiła z repertuarem piosenek lwow-

(c.d. na str. 2)

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

(c.d. ze str. 1)

skich Kapela Folkloru Miejskiego „Fidelis” z Przemyśla, „Kapela ze wsi Warszawa”. Gościem specjalnym jarmarku był Stanisław Sojka. W czasie jarmarku czynne były stragany rzemieślników, artystów ludowych. Prezentowana też była kuchnia regionalna i tradycyjna. Z kolei 13 lipca na stadionie sportowym zorganizowany został festyn na program którego złożył się mecz o puchar lata i koncert muzyki klasycznej w kościele oraz zabawa taneczna.

Odkopano szczątki zmarłych

W trakcie prac kanalizacyjnych prowadzonych na terenie szpitala w Lubaczowie natrafiono na ludzkie szkielety. Przybyli na miejsce pracownicy lubaczowskiego Muzeum stwierdzili, że są to szczątki żołnierzy niemieckich z czasów II wojny światowej. O odkryciu powiadomiono też prokuraturę.

9 lipca dokonano ekshumacji 57 zwłok. Zapakowane w plastikowe worki odwiezione zostały na cmentarz znajdujący się w Siemianowicach Śląskich. W czasie wojny szpital w Lubaczowie pełnił rolę szpitala wojskowego, w którym leczeni byli ranni żołnierze niemieccy.

III Festiwal Piosenki Patriotycznej

W dniach 28-29 czerwca w Lubaczowie odbył się II Festiwal Pieśni i Piosenki Patriotycznej „Bogu i Ojczyźnie”, zorganizowany z inicjatywy Parafii św. Stanisława i biura „Radia Maryja” w 10 rocznicę wizyty Jana Pawła II w tym mieście. Przez dwa dni prezentowano zgromadzonej publiczności recytacje i pieśni patriotyczne. Szczególnie gorąco był przyjmowany koncert Andrzeja Rośiewicza oraz program pa-

triotyczny „Poezja Polska w naszym sercu” w wykonaniu Małgorzaty Dudy-Kozery aktorki z teatru Adama Hanuszkiewicza z Warszawy. Z kolei rycerstwo sandomierskie przedstawiło widowisko zjazdu gnieźnieńskiego i koronacji Bolesława Chrobrego.

IV Memoriał Korzeniowskiego

Szkola Podstawowa im. św. Brata Alberta w Narolu była organizatorem VI Memoriału im. Władysława Korzeniowskiego. W zawodach startowało 242 zawodników ze szkół podstawowych i gimnazjalnych. W poszczególnych kategoriach wiekowych zwyciężyli:

- **klasy I-II dziewczęta:** Ewelina Starzec /SP Cieszanów/ przed Beatą Mazurkiewicz /SP Huta Różaniecka i Justyną Łukasiewicz /SP Narol/. Wśród chłopców Tomasz Herda przed Mariuszem Krzyszychą / obaj SP Huta Różaniecka/ i Mateuszem Obirkim /SP Narol/

- **klasy III-IV:** Magdalena Śioma /SP Dąbków/ przed Katarzyną Zdybek /SP Narol/ i Anną Kwietniewską /SP Cieszanów/ a wśród chłopców Mateusz Załuski /SP nr 1 Lubaczów/ przed Mikołajem Zdybkim i Marcinem Zarębskim / obaj SP Narol/.

- **klasy V-VI dziewczęta:** Magda Sobol /SP Narol/ przed Kamelią Skrzetłą /SP nr 1 Lubaczów/ Agnieszką Szajką /SP Ruda Różaniecka/ chłopcy: Lukasz Czereczan /SP Narol/ przed Jackiem Sajem /SP Cieszanów/ i Maciejem Janowskim /SP Narol/.

W kategorii uczniów gimnazjalistów zwycięzcami zostali: Aleksandra Wołoszyn, Monika Koszczan i Joanna Wróbel /wszystkie z Narola/. W grupie chłopców zwyciężył Michał Korzeniowski /Gimnazjum nr 1 Lubaczów/ przed Sławomirem Wolańczykiem i Maciejem Banasiem /Gimnazjum w Narolu/.

W punktacji drużynowej szkół podstawowych zwyciężyła SP w Narolu. Natomiast ze szkół gimnazjalnych – Gimnazjum w Narolu.

Międzygminne Spotkania z Kulturą

Na granicy województw Wola Obszańska – Moszczenica 20 lipca zorganizowane zostało przez Gminny Ośrodek Kultury w Starym Dziukowie „Międzygminne Spotkania z Kulturą”. Na program tej uroczystości złożyły się występy kapel ludowych, prezentacje ludowych zespołów śpiewających, koncert orkiestry dętej z Babic. Ponadto w programie znalazły się zabawy i konkursy.

Autobus szynowy w Lubaczowie

24 lipca na stację PKP w Lubaczowie wjechał autobus szynowy. Licznie zebrana publiczność mogła obejrzeć wnętrze kolorowego autobusu. Znajduje się w nim 95 miejsc siedzących. A 100 osób może nim podróżować na stojąco. Dwa silniki spalają 30 litrów ropy na 100 km. Koszt pojazdu - 4 mln 200 tys. zł. Samorząd wojewódzki zaplanował zakup 3 autobusów szynowych. Jest szansa, że jeden z nich trafi na trasę Munina-Horyniec

Oberwanie chmury

W gminie Stary Dziuków miało miejsce oberwanie chmury. Podtopieniu uległo 26 gospodarstw w tym nowowobudowany budynek szkoły. Uszkodzone też zostały mosty i przepusty oraz rowy melioracyjne.

Uszkodzeniu uległy drogi Stare Siolo – Lipina, Cewków – Stary Dziuków, Żmijowiska – Wielkie Oczy. Sumę ogólnych strat oszacowano na 842 tys. zł.

DOPISEK POZA PROTOKOŁEM

W Antonikach na ogólnowiejskim zebraniu zorganizowanym 20 kwietnia 2002 roku powołano Komitet Kanalizacji Wsi. Z tej okazji przez sołtys Władysława J. sporządzony został stosowny protokół, w którym odnotowano, że na zebraniu były omawiane sprawy bieżące wsi i sprawa kanalizacji, którą wszyscy jednogłośnie poparli. Poza uchwałą, ujętą w innym miejscu protokołu, znalazło się tylko postanowienie o wyborze Komitetu Kanalizacji oraz założenie konta w banku i wyrób pieczęci.

Po zebraniu sołtys zobowiązała się dokument przepisać „na czysto” gdyż był on niezbędny do założenia konta bankowego. W związku z powyższym już następnego dnia członkowie komitetu budowy kanalizacji spotkali się przed Urzędem Gminy z sołtysem Władysławem J. aby udać się do banku celem założenia konta. Tutaj jeszcze raz członkowie komitetu przejrzyli protokół z zebrania. Jego treść dotyczyła wyłącznie sprawy kanalizacji. Wystarczyło jednak, że sołtys na moment udała się do Urzędu Gminy (o czym wówczas nikt z członków komisji nie wiedział) a pojawiła się nowa wersja protokołu.

Z początkiem 2003 roku Antoniki poruszyły

wieść, że syn Władysława J. stał się właścicielem prawie dwuhektarowej gminnej działki. A przecież mieszkańcy wsi doskonale wiedzieli, że do jej sprzedania niezbędna jest uchwała wiejskiego zebrania. Okazało się, że władze gminy podejmując decyzje o sprzedaży działki dysponowały dokumentem na którym była adnotacja: „przeznaczyć do sprzedaży część działki nr 141/10, o pow. ok. 2 ha położonej we wsi Antoniki”. Mało tego, że nikt z urzędników nie zwrócił uwagi, że dopiska nie ma żadnego odniesienia do spraw poruszanych na zebraniu, to jeszcze – zdaniem mieszkańców Antoników – przytoczony fragment Władysława J. dopisała do protokołu za namową jednego z urzędników.

Wkrótce do wójta gminy wpłynęło pismo podpisane przez kilkunastu mieszkańców wsi z prośbą o wyjaśnienie dlaczego mienie wiejskie zostało sprzedane, skoro mieszkańcy wioski nie wyrazili na to zgody. Zdaniem autorów pisma pani sołtys sama dopisała do protokołu z zebrania rzekoma zgodę. W dalszej części pisma czytamy: „Dziwnym jest fakt, że nikt z mieszkańców wsi nie widział np. geodetów wyznaczają-

cych działkę do sprzedania. Nigdzie nie było żadnego ogłoszenia”. Nadawcy nie doczekali się jednak odpowiedzi. Wobec tego mieszkańcy kierują kolejne pisma do przewodniczącego Rady gminy i do Komisji Rewizyjnej Gminy Lubaczów. Wreszcie gmina zajęła się sprawą. Porównano protokół złożony w banku ze złożonym w UG. Tylko na jednym z nich był dopisek o zgodzie na sprzedaż wspomnianej działki. Nie ulegało wątpliwości, że protokół złożony w gminie był sfałszowany.

W ślad za tym nadawcy pisma do wójta zostali poinformowani, że sprawa została skierowana do prokuratury. Na rozprawie jednak w czerwcu br. Sąd Rejonowy w Lubaczowie uznał, że przestępstwo miało „niewielką szkodliwość społeczną” i warunkowo odstąpił od wymierzenia kary Władysławowi J. W tej sytuacji syn pani sołtys przystąpił do zagospodarowania działki. Niemniej jednak władze gminy zapewniają, że wkrótce ponownie zajmą się tą sprawą.

Ryszard Strzelecki

EDWARD KRUKOWSKI 1939-2003

(c.d. ze str. 1)

rem w III Rzeczypospolitej, w której zapanowały reguły wolnego rynku i żeby sprostać ich wymaganiom trzeba było być lekarzem, administratorem, społecznikiem i dyplomata. Dawał sobie radę, choć kosztowało go to wiele wysiłku, wyrzeczeń i zdrowia.

Edward Krukowski pochodził z Radymna z rodziny robotniczej. Choć długie lata był dyrektorem, nie zapominał skąd jego ród. Z taka samą troską jak ludzi zamożnych, leczyl i traktował biednych w tym także bezrobotnych. Był człowiekiem szlachetnym i uczciwym. Z dystansem odnosił się do wszelkich układów, gardził obłudnymi grzecznościami, nie tolerował kombinatorów i cwaniaków. Dlatego tylko pracownik rzetelnie wykonujący swe obowiązki cieszył się jego uznaniem. W swych działaniach nie uznawał krótkich dróg.

Kierowane przez niego sanatorium, chociaż podległe oddległej centrali, zlokalizowane jest na ziemi lubaczowskiej. Edward nie zapominając o tym przez cały czas urzędowania starał się służyć środowisku. Angażował się w życie społeczne gminy. Przez jedną kadencję pełnił funkcję przewodniczącego Gminnej Rady. Szczególnie bliskie mu były sprawy ekologii, wspierał inicjatywy promujące gminę. Był cenionym mecenasem organizowanych w Horyńcu Biesiad Teatralnych.



Sanatorium „Metalowiec” w Horyńcu Zdroju.

Fot. Adam Wolańczyk.

Wójt gminy Roman Rogala podziękował mu nad trumną słowami: „Ponad 30-letni okres pracy w Horyńcu jest zaznaczony Twoją obecnością na każdym odcinku życia społecznego i gospodarczego. Przez długie lata kierowane przez Ciebie sanatorium wspomagało szkoły finansowo, sprzętowo, transportem autokarowym. Wsparcie otrzymywał też klub sportowy, organizowane imprezy kulturalne i inwestycje”.

Pomimo pracy w sanatorium Edward nie zrezygnował z niesienia pomocy lekarskiej mieszkańcom okolicznych miejscowości. Wciąż przyjeżdżali do niego ludzie z Cieszanowa, Chotylubia, Brusna, Lubaczowa. Przyjeżdżali bo nadal był to „ich doktor”, niosący skuteczną pomoc, bo mieli do niego zaufanie. Nie wielu znaleźlibyśmy na naszym terenie lekarzy, którzy wiedliby tak aktywne życie jak Edward i prowadzili tak różnorodną działalność. Plonem jego pracy są tysiące zadowolonych kuracjuszy sanatorium „Metalowiec” rozproszonych po całej Polsce oraz setki wdzięcznych pacjentów w powiecie lubaczowskim.

Do końca życia pozostał wierny swym ideałom z lat młodości. Służba społeczna, ratowanie i niesienie ulgi ludziom – to jego credo. Był i pozostał lekarzem wykonującym swój zawód z powołaniem. To optymistyczne, że w czasach prywaty, wzrostu egoizmu, korupcji znajdują się jeszcze ludzie w tym także lekarze, którzy swój zawód traktują jak posłannictwo. Warto żywić nadzieję że Edward Krukowski znajdzie licznych naśladowców.

Marian Ważny

ZAMIAR LIKWIDACJI PRZEDSZKOLA

Samorząd Lubaczowa na czerwcowej sesji podjął wstępną decyzję likwidacji Zespołu Przedszkoli Publicznych oraz przeniesienia dzieci z Przedszkola Nr 3, zlokalizowanego przy ulicy Konopnickiej, do dwóch pozostałych. Zamiary te były znane rodzicom, dlatego do władz miasta trafiła petycja z podpisem 70 nazwisk w której czytamy: „Ostro protestujemy przeciwko likwidacji przedszkola przy ulicy Konopnickiej. Cieszy się ono bardzo dobrą opinią rodziców i społeczności lokalnej. Liczba dzieci co roku przekracza liczbę miejsc. Rodzice wysoko oceniają umiejętności dzieci nabyte w tej placówce. Zlokalizowana jest ona blisko osiedli mieszkaniowych i miejsc pracy rodziców. Bulwersuje nas fakt, że nikt z nami tej decyzji nie konsultował”.

Władze miasta na wspomnianej sesji projekt decyzji głęboko uzasadniały. Stwierdzono, że 1,5 mln zł w skali roku gmina wydaje na placówki wychowawcze. O ile miesięczne koszty pobytu ucznia w szkole wynoszą 250 zł, to za przedszkolaka kwota ta sięga 500 zł. W dodatku pieniądze na ucznia pochodzą z subwencji oświatowej, a na utrzymanie przedszkoli środki musi wygospodarować miasto. Ponadto przedszkole przy ulicy Konopnickiej wymaga remontu i zainstalowania nowej kotłowni, co będzie kosztować około 100 tysięcy złotych.

Zapewniono też, że wszystkie dzieci z przedszkola przy ulicy Konopnickiej znajdą miejsce w dwóch pozostałych, gdzie w sumie są trzy niewykorzystane dotąd sale.

Argumenty te nie przekonały jednak rodziców. Ich zdaniem przenoszone przedszkole usytuowane jest w wyjątkowo wygodnym miejscu. W pobliżu tak Osiedla Jagiellonów jak i Unii Lubelskiej mieszka najwięcej rodziców mających dzieci w wieku przedszkolnym. Ponadto przedszkole to ma parking i plac zabaw. Fakt zaś, że w dwóch pozostałych przedszkolach są wolne sale, nie dla wszystkich był przekonujący. Argumentowano bowiem że są to sale dla ćwiczeń i zajęć ruchowych.

Pojawiła się opinia, że skoro już jedno z przedszkoli musi być zlikwidowane, to dlaczego nie wzięto pod uwagę placówki przy ulicy Mickiewicza, gdzie nie ma placu zabaw. Również dla przyszłych klientów ZUS (bo podobno ta placówka miała się mieścić w przedszkolu przy ulicy Konopnickiej) biura przy ulicy Mickiewicza byłyby bardziej odpowiednie. W głosowaniu 12 radnych poparło przeniesienie przedszkola a trzech radnych wypowiedziało się przeciw.

Trzeba przyznać, że dla władz miasta, które borykają się z trudnościami finansowymi, rozparcelowanie Przedszkola Nr 3 jest zasadne. Na sprzedaży można zarobić, a uzyskane środki przeznaczone byłyby na modernizację dwóch pozostałych placówek. Ale zgodnie z procedurą każda uchwała władz miasta musi trafić do organu założycielskiego, a więc do wojewody. 18 lipca na ręce burmistrza wpłynęło pismo stwierdzające, że w rozpoczętym postępowaniu brak zgody kuratora. Ponadto likwidacja Zespołu Przedszkoli Publicznych nie może oznaczać likwidacji wchodzącej w jego skład placówki. Tym samym wojewoda stwierdził nieważność uchwały samorządu.

Problem Przedszkola Nr 3 w Lubaczowie jest szerszy niż się pozornie wydaje. Zawsze tak jest że najprostszym rozwiązaniem w obliczu trudności jest likwidacja. W takich momentach zazwyczaj decydem nie towarzyszy refleksja ile trudu, zabiegów musieli ludzie, władze miasta ponieść aby tę placówkę zbudować. Poza tym brak tu myślenia perspektywicznego. Z góry się zakłada, że przed Lubaczowem tylko regres. A więc będzie się coraz mniej dzieci rodziło i chętnych do oddawania swych pociech do przedszkoli będzie ubywać. Nie można wykluczyć, że dla Lubaczowa mogą nadejść lepsze czasy i ludzie będą wówczas bardziej zainteresowani oddawaniem swych dzieci do przedszkoli a nawet żłobka. A problem w tym, że raz zlikwidowaną placówkę trudno jest odtworzyć.

Ryszard Strzelecki

Z PAMIĘTNIKA BEZROBOTNEGO LUBACZOWIANINA

3 czerwca

Już prawie pół roku minęło od moich ostatnich notatek w Kresowiaku. Zaniechałem pisanie gdyż zaczęły się pojawiać opinie, że w pamiętniku bezrobotnego nic nowego. Faktycznie już wszystko było: rozpaczliwe szukanie pracy, niekończące się rundy po firmach, małżeńskie konflikty, stresy. Ale monotonia jest tylko pozorna. Wszystko się nawarstwia. Ot konflikty małżeńskie. Dawniej były tylko ciche dni a dziś ze strony żony lecą coraz mocniejsze słowa. Określa mnie jako ofiarę losu, lenia pozbawionego ambicji. Przelykam te oskarżenia, chociaż jest mi bardzo przykro. Pogłębia się też – co mnie bardzo boli – izolacja wokół mojej osoby. Nawet znajomi na ulicy po przywitaniu szybko umykają. Przypuszczalnie boją się abym im nie uzwętniał swych kłopotów.

Jest jeszcze jeden, i to chyba najważniejszy powód, że wziąłem się znowu za pisanie. Mam tu na myśli potęgujące się zubożenie na losy takich jak ja. Bezrobocie przestało kogokolwiek bulwersować. Jeszcze kilka lat temu w Lubaczowie o bezrobotnych mówiło się na sesjach, na kazaniach w kościele, na ulicy, rynku. A dzisiaj już inne tematy stały się ważniejsze. Do szwabskiej pasji doprowadza mnie opinia na ten temat niektórych urzędników a nawet radnych. Zagadnałem jednego z nich, próbując przekonać go, że bezrobocie to nadal poważny problem w naszym mieście. Odparł, że kwestia ta jest sztucznie wyolbrzymiana. Bezrobotni sobie jakoś radzą, pracują dorywczo, wyjeżdżają za granicę, zakładają własne firmy. Niestety ten styl myślenia nie jest odosobniony.

Bierze się to trochę z faktu, że bezrobotni siedzą cicho. A narzekanie po kątach niewiele daje. Muszą być mocne reakcje. Samobójstwa zdesperowanych bezrobotnych są już bardzo częste. Wieszą się oni gdzieś w opustoszałych stodołach, w lesie. Poza tym i tak główny powód ich śmierci w oficjalnych komunikatach spychany jest na dalszy plan. Dopiero tak gdyby bezrobotny powiesiłby się na konarze kasztana na lubaczowskim rynku byłaby może sensacja i w mieście o tym wydarzeniu byłoby głośno!

Również gdyby tak w Lubaczowie bezrobotni z transparentem zorganizowali przemarsz ulicami miasta. Wówczas w tej kwestii może być coś drgnęło.

11 czerwca

W Lubaczowie bezrobotny może tylko cicho umierać. Właśnie

dzisiaj na cmentarz rodzina, przyjaciele odwiedzili przedwcześnie zmarłego /nie przekroczył jeszcze pięćdziesięciu lat/ kolegę. Kiedyś pracowaliśmy razem. Był duszą towarzystwa. Praca była dla niego wszystkim i dlatego bezrobocie stało się tragedią. Przy swej wrażliwej naturze nie mógł się pogodzić z faktem, że o pracę trzeba też zebrać. Stąd wędrówka w jej poszukiwaniu była dla niego męką. Ratawał się jak mógł. Trochę wyjeżdżał za granicę. Szybko podupadł na zdrowiu. Pojawiły się poza tym problemy wychowawcze z dorastającym synem. Uważał, że jest to rezultat jego wyjazdów w świat. Wszystkim się okrutnie przejmował. Był przy tym skryty, wszystko dusił w sobie. i to moim zdaniem przyspieszyło jego zgon.

Każdy pogrzeb jest smutny, ale ten był wyjątkowo przynębiający. Pochmurny chłodny dzień. Garstka ludzi, którzy po egzekwacjach księdza szybko się ulotnili. Przy grobie została tylko najbliższa rodzina. Żadnych pożegnalnych słów. A przecież był to szlachetny człowiek. Na jego pogrzebie powinny być tłumy. Niestety bezrobotny w ostatniej drodze tak jak za życia jest osamotniony. Jeśli umiera ktoś znaczący ludzie idą na pogrzeb, bo tak wypada, bo w ten sposób można zmanifestować, że też zmarły był naszym przyjacielem albo tylko znajomym.

19 czerwca

Bieda zbliża ludzi. Gdy człowiek jest na dnie zawsze znajdzie się ktoś, kto poda rękę. Od tygodnia żadnej fuchy, żadnego zarobku. W domu atmosfera stawała się wręcz nie do zniesienia. A tu telefon od Wojtka. Jest robota przy rżnięciu drzewa w traku.. Wprawdzie w grę wchodziły dojazdy ale ucieszyłem się bardzo. Już na

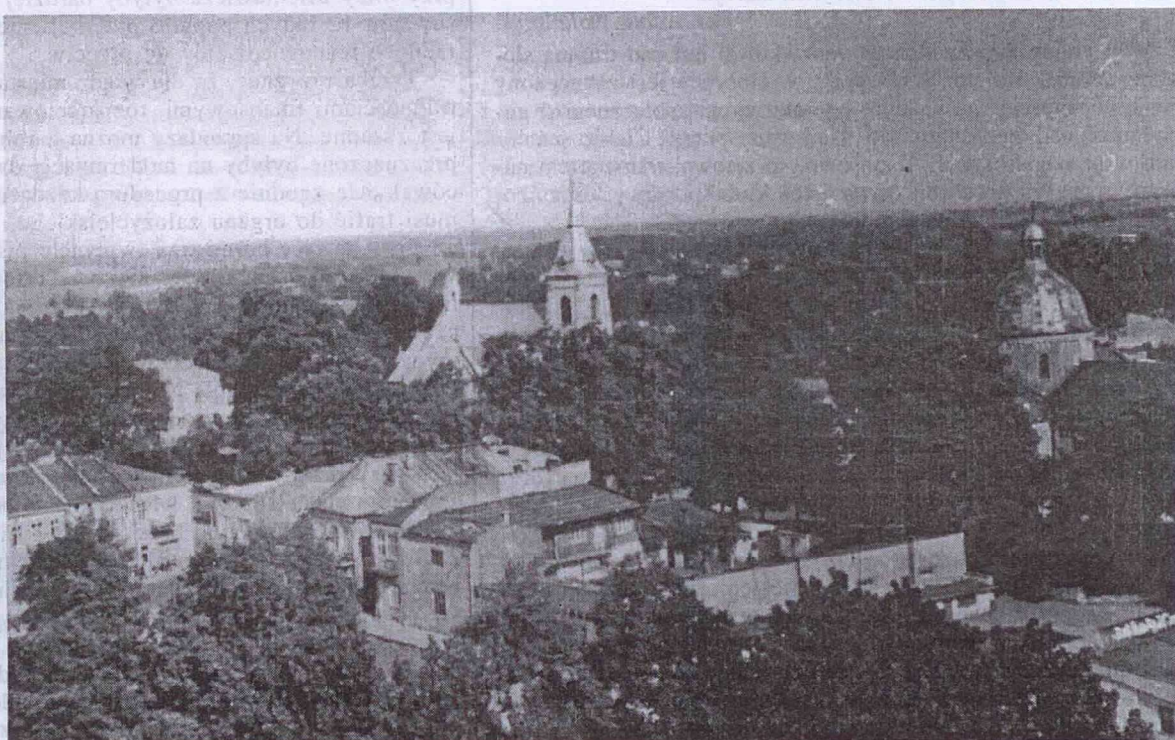
drugi dzień byliśmy z Wojtkiem na stanowiskach. Robota była ciężka i niebezpieczna. Olbrzymie bele należało ręcznie wtaczać na pomost i w tłumach kurzu obsługiwać prymitywne urządzenia przez okragłe 10 godzin. Ale nie narzekałem. Tylko właściciel był niezbyt sympatyczny. Zgrywał się na wielkiego menadżera. Z telefonem komórkowym przy uchu bez przerwy nami poganiał. Gdy w przerwie odezwałem się do kierowcy samochodu, który przyjechał po deski, właściciel z miejsca zrobił mi karczemną awanturę. Obowiązuje zakaz jakichkolwiek rozmów z jego klientami. Po dwóch tygodniach wyjechał na urlop i podziękował nam za robotę, ale po trzy stówy zarobiliśmy! Nawet żona tego dnia była dla mnie bardzo serdeczna.

20 czerwca

Zaglądnąłem do Urzędu Pracy w Lubaczowie. W holu na tablicy pojawiają się oferty pracy. Poszukuję kierowców, Zainteresowałem się stanowiskiem „pełnomocnika handlowego”. Zapiisałem sobie telefon i zadzwoniłem. Nic z tego. Praca polega na handlu obwoźnym i to własnym samochodem.

Słyszę w mediach, że bezrobotni zaczynają się organizować. Gdzieś tam w kraju powstają pierwsze struktury. W Słupsku bezrobotni wygrywają proces. Chodzi mi po głowie myśl aby w Lubaczowie założyć jakieś stowarzyszenie bezrobotnych. Jest tu nas przecież kilka tysięcy. Gardzi się nami, spycha się na margines, traktowani jesteśmy jak śmiecie. Związki zawodowe mają wszyscy z wyjątkiem bezrobotnych.

Tomek



Lubaczów z lotu ptaka.

Fot. S. Dziedzic.

NAROL I LIPSKO WCIAŻ ODDZIELNIE

Narol to miasto z bogatymi tradycjami kulturalnymi. Przed wiekami w pałacu Łosiów czynna była słynna na cały kraj szkoła dramatyczno-muzyczna w której kształciła się młodzież z bogatych rodów. W pałacu mieściła się też bogata kolekcja obrazów, biblioteka z cennym księgozbiorem. Nic dziwnego, że pałac promieniował nie tylko na środowisko ale i na cały region.

Przed II wojną światową w Narolu działał chór, teatr amatorski. Na szeroką skalę pracę kulturalną prowadzą liczne w mieście organizacje społeczne. Po II wojnie światowej Narol powoli odzyskiwał ze zniszczeń. Czasy jakie nadeszły nie były dla tej miejscowości łaskawe. Właściwie



A. Steczkiewicz.

Fot. M. Ważny.

wszystko czego tutaj dokonano osiągnięto własnym wysiłkiem. Tak było z budową Ośrodka Zdrowia, Banku Spółdzielczego czy Domu Towarowego. Tylko przy budowie osiedla mieszkaniowego i dużej nowoczesnej szkoły Narol otrzymał znaczne wsparcie z zewnątrz.

Zapomniano jednak o placówce kulturalnej. Narol bowiem obok Oleszyc należy w naszym powiecie do miejscowości które były pozbawione w zasadzie Gminnego Ośrodka Kultury. W pewnym ograniczonym stopniu rolę tę przejęła Biblioteka Publiczna, która organizuje konkursy recytatorskie i wystawy. Brak GOK rekompensowany jest też przez organizowanie różnych imprez kulturalnych, jak coroczną imprezę sobótkową czy Jarmark Galicyjski a ostatnio Koncert Muzyki Kameralnej.

Aktywną działalność rozwijają takie stowarzyszenia jak Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Narolskiej i „Pro Academia Narolense”. Przypomnijmy że fundacja ta, która inicjuje szereg przedsięwzięć kulturalnych powstała m. in. po to, aby wspomagać odbudowę pałacu rozpoczętą przez prof. Władysława Kłosiwicza. Po odbudowie w pałacu zlokalizowane zostanie centrum artystyczne nawiązujące do tradycji szkoły artystycznej utworzonej niegdyś przez hrabiego Łosia. W centrum tym organizowane będą m. in. seminaria, kursy służące doskonaleniu zawodowemu artystycznemu i naukowemu uzdolnionych studentów polskich i zagranicznych wyższych uczelni.

Realizacja tych zamierzeń to jednak jeszcze dość odległa przyszłość. Odbudowa pałacu jest bowiem niezmiernie kosztownym przedsięwzięciem i mimo zaawansowanych prac daleko jest jeszcze do finiszu. Póki co oferta kulturalna Narola mimo wszystko jest uboga. Dwie, trzy im-

prezy w skali roku, nawet jak najbardziej udane, nie zastąpią codziennej działalności kulturalnej, pracy zespołów artystycznych czy kół zainteresowań. Wprawdzie już wiosną władze gminy zapowiedziały bliski termin otwarcia ośrodka kultury lecz zamiar ten nie został jeszcze sfinalizowany.

Równocześnie jednak w graniczącym z Narolem Lipsku w sferze kultury dzieje się więcej. Warto przypomnieć, że w 1938 roku zespół folklorystyczny z tej miejscowości na przeglądzie w operze lwowskiej zajął I miejsce. Lipsko wciąż zadziwia różnorodnymi inicjatywami społecznymi. Już od kilku lat działa tu utworzone w budynku byłej szkoły podstawowej muzeum, którego mogłaby pozazdrościć niejedna miejscowość będąca siedzibą władz gminy czy miasta. W dwóch obszernych salach zgromadzone zostały imponujące zbiory. W jednej z nich znajdują się militaria. Jest to przede wszystkim broń z czasów II wojny światowej, możemy zatem oglądać karabiny, automaty w tym bron maszynową, granaty i naboje poczynawszy od pistoletów a na artyleryjskiej skończywszy. W gablotach z kolei prezentowane są medale, dokumenty i fotografie.

Z kolei w drugiej sali ukazana jest wiejska zagroda typowa dla tych stron. Zgromadzone tu zostały narzędzia rolnicze m. in. socha, radło, oryginalne okucia żelazne, wytwory sztuki bednarskiej, jest tu też barć, żarna. Wszystkie eksponaty są odpowiednio skatalogowane i opracowane. Placówka ta budzi duże zainteresowanie. Trafiają do niej ludzie nawet z głębi kraju, a nie tak dawno muzeum zwiedzali goście z Anglii.

Wykorzystane zostały również pozostałe pomieszczenia szkoły. W jednej z nich zainstalowany został stół bilardowy. W sąsiedniej z kolei odbywają się gry sportowe. Duszą inicjatyw kulturalnych w Lipsku jest Antoni Steczkiewicz. To z jego inspiracji wieś ma chodniki, budynek OSP gdzie również jest świetlica. Aktualnie ze środków FOS trwają prace przy budowie zalewu.

Wież nie zapomniano o estetyce. Oto aktualnie mieszka w Lipsku przybyły z Krakowa rzeźbiarz Marek Chomicki. Wrócił do rodzinnego domu i wykonuje cały szereg prac upiększających Lipsko. Ostatnio jego osiągnięciem są kamienne rzeźby, która została usytuowana na zachowanym fragmencie dawnych wałów otaczających Lipsko.

Byłoby cenne gdyby te dwa środowiska Narola i Lipska w dziedzinie kultury się zintegrowały. Przypuszczalnie, wówczas dokonania byłyby znacznie większe. Oto w Narolu Wsi jeszcze w latach sześćdziesiątych utworzona została przez państwo Śita-rzy Izba Pamięci. Zgromadzone w niej zostały cenne pamiątki i eksponaty z zakresu historii, etnografii obrazujące tradycje tej ziemi. Niestety po odejściu organizatorów i likwidacji szkoły Izba Pamięci jest nieczynna a sam budynek niszczeje. Pojawiają się zacieki a same eksponaty coraz bardziej narażone są na kradzież.

Wydawać by się mogło, że nic prostszego jak zlokalizowanie tych eksponatów w utworzonej już placówce

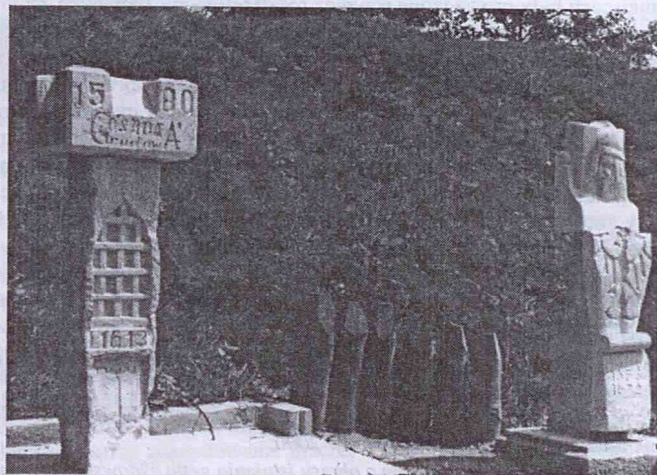
muzealnej w Lipsku. Ale niestety dają tu o sobie wciąż znać trwające od dziesięcioleci animozje między Narolem a Lipskiem. U narolczan można zauważyć swoisty kompleks wobec Lipska. Dlatego też nie zyskują akceptacji inicjatywy które mogłyby przysparzać sławy tej miejscowości. I może dlatego w ubiegłym dziesięcioleciu narodziła się w Narolu inicjatywa utworzenie placówki muzealnej. Orędownikiem tego pomysłu był wywodzący się z tej miejscowości a mieszkający wówczas w Szwecji lekarz stomatolog Jan Zuchowski. Z jego inicjatywy powołano Radę Muzeum, wykonano plan remontu starej szkoły, gdzie ta placówka miała się mieścić i rozesłano 7000 listów cegiełek. Niestety przyznane wstępnie przez władze gminy na ten cel środki przeznaczone zostały na inne cele, a sam budynek za symboliczną cenę został sprzedany Parafii. Perspektywa utworzenia placówki muzealnej w Narolu jest więc nadal odległa i coraz mniej realna.

Innym wymownym przykładem jest już cykliczna impreza sobótkowa. W 1978 roku soltys z Lipska wyszedł z inicjatywą aby na Tanwi w sobótkową noc zorganizować plenerowe widowisko związane z puszczaniem wiąnek. Przedsięwzięcie to zorganizowane z bogatym programem stanowiło znaczące wydarzenie. kulturalne w regionie. Na sobótkową imprezę wybierano się całymi rodzinami. Przybywali tu turyści nawet z odległych miejscowości. Setki płynących wiąnek, kolorowe światła, śpiewy stanowiły niezapomniane przeżycie dla uczestników imprezy.

Niestety ostatnia noc świętojańska rozczarowała przybyszów. Na rzece doliczono się tylko kilkunastu wiąnek, a aby był efekt powinno ich być setki. Zorganizowanie imprezy zlecono dwóm przedsiębiorcom, którzy za zgodą na punkty handlowe zadeklarowali się sfinalizować kosztą zaangażowania zespołu muzycznego. W efekcie w tle „mocnej muzyki” nad brzegami zebrani przy ogniskach widzowie, z braku wrażeń wizualnych raczyli się alkoholem.

Impreza ta miałaby z pewnością inny wymiar gdyby do jej zorganizowania zaangażowane zostały kompetentne osoby mające w tym względzie doświadczenie. Mamy tu również na myśli animatorów kultury z Lipska, którzy kiedyś tę imprezę tworzyli. Tak więc i na tym polu animozje i uprzedzenia powodują, że tracą wszyscy. Czas najwyższy aby nastąpiła integracja obydwu środowisk. Stawką jest skuteczna promocja gminy, jej przyrodniczych krajobrazowych walorów, jak też ciekawych ludzi tu mieszkających.

Marek Wrzos



Kamienne rzeźby usytuowane przy fragmencie wałów.

Fot. M. Ważny.

Adam Szajowski

Getto w Lubaczowie

(dokończenie)

Widziałem likwidację getta z bloku przy dzisiejszej ul. Kurierów. Niemcy przeprowadzali Żydów zgromadzonych w tymże bloku, w kolumnie przez nasze zasiane żytem pole (obecnie własność rodziny Pęcaków), przyległe do budynku Getta i parceli z zabudowaniami Tadeusza Małeckiego (późniejszego lubaczowskiego grabarza). Już w tym życie często strzelając, Niemcy zabili kilka osób, m.in. jedną widzianą ode mnie z okna, zastrzeloną tuż przy słupku tegoż ogrodzenia. Cały ten "orszak" skierował się ulicą w kierunku miasta. Pewna rodzina żydowska skryła się między dom Anny Niecko i płot Feliksa Fusińskiego (naprzeciw naszego domu). Strzelając z karabinu za tymi osobami, Niemiec trafił w nasz dom. Kula przeszła przez ścianę, potem nad piecem i trzonem kuchennym w kuchni, zniżając swój lot uderzyła w przeciwną ścianę przy spiżarni, nad łóżkiem, na którym leżała mama mojej żony Katarzyna Margraf. Gdyby siedziała na łóżku, byłaby zabita.

Po tej akcji wyszedłem na próg domu i zobaczyłem uciekającego ulicą w stronę dróżki prowadzącej na łąki, Żyda Druckera- kancelistę. Za nim biegł strzelający z karabinu żandarm i krzyczący "halt!, halt!" Nie uciekł daleko, tylko nieco poza kończący się mój płot i został złapany. Popychany w plecy lufą karabinu, został odprowadzony na cmentarz żydowski i tam... Od strony miasta słychać było liczne strzały. Baliśmy się, czuliśmy, że dzieje się coś strasznego i że nic nie możemy zrobić. Domyślaliśmy się, że z każdym strzałem może gasnąć ludzkie życie, echo tych strzałów przesyłało na wskroś, sprawiało okropne odczucie bezsilności, jednocześnie skrytej gdzieś w głębi serca nadziei solidarności z bezlitośnie mordowanymi.

Gdy wydawało mi się, że sytuacja uspokoiła się i strzały zamikły, szedłem do miasta i spotkałem Zofię Mańkowską mieszkającą naprzeciw bramy cmentarza żydowskiego. Opowiedziała mi, że widziała "kolumnę" Żydów prowadzonych przez żandarmów z getta głównego na tenże cmentarz, w której szedł również J. Osterman. Widziała beznadziejność w jego oczach, ale i pogodzenie się z losem, którego nie mógł odmienić.

W inny dzień idąc do Rynku, naprzeciw parceli Gorczyńskiego przy ul. Kościuszki zobaczyłem z daleka dziecko, może 8-letnie, chłopca w płaszczyku z błyszczącymi guzikami, płaczącego. Po zarysie sylwetki poznałem z dalsza, że był to syn Gabla, mającego sklep z obuwiem w Rynku. Nie zdążyłem dojść bliżej, gdy jak spod ziemi wyrosła i stanęła przy chłopcu postać W. Seredyńskiego, który "wysługiwał się" Niemcom. "Chodź, zaprowadzę Cię do tatusia..." - rzucił ironicznie i popychając skierował go na cmentarz żydowski, za mur cmentarny. Stałem drętwy, nie nie mogłem zrobić, strach i bezsilność ścisnęła mi gardło... Po wojnie W. S. i jego syn należą do Hitlerjugend, zostali skazani na karę śmierci. W mieście natknąłem się na zwłoki kobiety Żydówki leżące w drzwiach domu, w miejscu, w którym potem była fryzjerna Władysława Sabala.

Na cmentarzu żydowskim, który był otoczony wysokim murem z cegły Niemcy rozstrzelali Żydów pod murem w dole. Zamarznęte zwłoki kładzione były na furmanki lub w poprzek na gołe sianie chłopskie i wywożone gościńcem obok szpitala, do rowów przy bunkrze sowieckim w Mokrzyicy i na polu na lewo od drogi prowadzącej w stronę Bałaji, a także do rowów przeciwczołgowych na polach pod Dachnowem. Starsi mieszkańcy tych okolic i obecni właściciele tych pól wiedzą (ale z pewnością woleliby nie wiedzieć), co kryje orana przez nich ziemia. W tych miejscach były prowadzone również rozstrzelania złapanych Żydów.

Na żydowskim cmentarzu Niemcy rozstrzelali ok. 1500 osób, ponad 500 rozstrzelano na polach Mokrzyicy, pod Dachnowem, a ok. 4000 wywieziono do likwidacji w obozie zagłady w Bełżcu. Likwidację getta w Lubaczowie rozpoczęli Niemcy (z gorliwie pomocną im policją ukraińską) 8 stycznia 1943 r. i zakończyli po dwóch dniach. To widziały moje [E. Sz.] oczy, ale i również innych Lubaczowian. Mnóstwo było w innych miejscach takich sytuacji, okropności i zdarzeń przesywających serce. Czy zechce jeszcze ktoś o tych koszmarnych dniach opowiedzieć? Czy trzeba? Trzeba! Trzeba dla przestrogi: "Oby nigdy więcej!"

Wykorzystano fragmenty z:

-A. i E. Szajowsky- *Moje lata 1940-1943. Ze wspomnień Eugeniusza Szajowskiego*. Wyd. BRSz., Lubaczów 2000.

-E. Szajowski- *Tylko ziemia została ta sama. Lubaczów 1942-1943*, w: „*Rocznik lubaczowski*”, t. IX-X, Lubaczów 2000.

-E. i A. Szajowsky- *W wydarzenia z okresu istnienia getta żydowskiego w Lubaczowie (1942/1943). Wspomnienie o adwokacie dr. Józefie Ostermanie*. Wyd. BRSz., Lubaczów 2001.



KRONIKA POLICYJNA

20 czerwca - Maciej M. z Lubaczowa usiłował włamać się do sklepu spożywczo-przemysłowego przy ulicy Mickiewicza.

W Wielkich Oczach patrol policyjny zatrzymał kierowcę ciągnika Stanisława R. z Kobylnicy, który miał we krwi 1,86 promila alkoholu.

22 czerwca - W Cieszanowie patrol policyjny zatrzymał do kontroli drogowej kierowcę Audi 100 Januarego Z., który po przebadaniu miał we krwi 1 promil alkoholu.

Bartłomiej R. z Baszni Górnej jadąc Fiatem Uno zderzył się z rowerzystą Stanisławem G. z Piastowa. Rowerzysta poniósł śmierć na miejscu.

Józef M. z Dachnowa mieszkający z dziećmi i bratem, powiesił się w budynku mieszkalnym.

W Lubaczowie z ogródka restauracji "U Dina" Tadeusza B. nieznani sprawcy skradli 4 sztuk metalowych przesł ogrodzeniowych wartości 2000 zł.

W Cieszanowie patrol policyjny zatrzymał do kontroli drogowej Roberta R. kierującego Fiatem 126. Zatrzymany miał we krwi 1,56 promila alkoholu.

W Cieszanowie na ulicy Skorupki nieznani sprawcy pobili dotkliwie Andrzeja D. Sprawcy złamali mu obojczyk.

W Załużu patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał motocyklistę Mirosława S. z Borowej Góry, który miał we krwi 1,80 promila alkoholu.

26 czerwca - W Lubaczowie patrol policyjny zatrzymał do kontroli drogowej Marka S. z tej miejscowości, który kierując samochodem Renault miał we krwi 2,49 promila alkoholu. Na jazdę Polonezem, po wódce w Lubaczowie, wybrał się również Janusz R. z Borchowa. Okazało się po przebadaniu, że miał we krwi 2,56 promila alkoholu.

29 czerwiec - W Lipsku do kontroli drogowej zatrzymany został przez policję Janusz R. Kierując Fiatem 126p miał we krwi 0,62 promila alkoholu.

2 lipca - W Kowalówce jadący rowerem Bronisław S. wjechał na Mercedesa kierowanego przez obywatela Ukrainy. Rowerzysta poniósł śmierć na miejscu.

3 lipca - W Lubaczowie, w rynku, zatrzymany został kierowca Fiata 126p Józef G. który miał we krwi 1,69 promila alkoholu.

W Zukowie miała miejsce samowola budowlana. Władysław W. bez odpowiednich zezwoleń rozpoczął budowę budynku gospodarczego.

W Lubaczowie na Osiedlu Unii Lubelskiej Krystynie Ł. skradziono rower górski „Milenium” wartości 580 zł.

W Lubaczowie patrol policyjny zatrzymał kierowcę Tarpana Arkadiusza B. który po przebadaniu miał we krwi 0,34 promila alkoholu. Z kolei na ul. Kościuszki Zbigniewowi O. uszkodzono karoserię samochodu Fiat Punto. Straty – 991 zł. Natomiast z placu kościelnego przy ulicy Kościuszki Michałowi M. skradziono rower górski „Melwe” wartości 300 zł.

4 lipca - W Oleszycach Józef K. dokonał kradzieży roweru Leonowi W. z tej miejscowości.

Na rynku w Cieszanowie Donald K. pobił Waldemara D. łamiąc mu nos.

W Cieszanowie Marian Z. od 1997 roku uchyla się od płacenia alimentów na rzecz swojej córki Aleksandry Z.

Na trasie Wielkie Oczy – Kobylnica zatrzymany został kierowca Łady Antoni R. z Kobylnicy który miał we krwi 1,40 promila alkoholu.

W Niemstowie nieznani sprawcy włamali się do budynku magazynowego i skradli 80 litrów środka chwastobójczego wartości 800 zł.

(c.d. na str. 7)



KRONIKA POLICYJNA

(dok. ze str. 6)

7 lipca - Nieznani sprawcy dokonali włamania do pokoju nauczycielskiego Liceum Ogólnokształcącego w Lubaczowie. i dokonali kradzieży wieży stereo Sony wartości 900 zł.

W Lubaczowie patrol policyjny zatrzymał rowerzystę Radosława A. z Zaluża, który miał we krwi 1,92 promila alkoholu.

9 lipca - Z lasu w Krowicy Samej Władysław K. z Lubaczowa dokonał kradzieży drewna 2,24m3 wartości 352 zł.

W Lisich Jamach nieletni Michał D. z Lubaczowa jadąc rowerem nagle nieprawidłowo skręcił w lewo i wpadł pod „Daewoo Matiz” kierowanego przez Krystynę K. z Lubaczowa. Chłopak doznał wstrząsu mózgu i złamania nogi.

W sklepie „Centrum” w Lubaczowie Łukaszowi M. z Cieszanowa nieznany sprawca skradł portfel z zawartością 800 zł.

W Dziewięcierzu policja wykryła nielegalną uprawę konopi prowadzoną przez mieszkańca z Horyńca.

W lesie w Krowicy Samej na kradzieży drewna sosnowego został przylapany Janusz B. z tej miejscowości.

13 lipca - W Lubaczowie /rynek/ przez patrol policyjny zatrzymana została Mirosława P. z Dachnowa kierująca samochodem. Po przebadaniu w jej krwi było 1,73 promila alkoholu.

Z kolei na ul. 3 Maja zatrzymany został pijany kierowca Fiata 126p ze Szczutkowa Wojciech G. A w Bihalach

zatrzymany został przez patrol policyjny kierowca Eugeniusz G. z Nowej Grobli. który miał we krwi 2,50 promila alkoholu.

14 lipca - Na dworcu PKS w Lubaczowie przy wsiadaniu do autobusu Stanisławowi K. z Chotylubia skradziono portfel z zawartością: 640 zł, dowód osobisty i kartę bankomatową.

17 lipca - W Kobylnicy Wołoskiej patrol policyjny zatrzymał kierowcę Mercedesa z tej miejscowości Jana F, który po przebadaniu miał we krwi 2,25 promila alkoholu.

18 lipca - Władysławowi R. z Huty Kryształowej bracia Krzysztof i Dariusz F. grozili pozbawieniem życia.

W Opacie do budynku mieszkalnego Józefa F. z Lubaczowa włamali się nieznani sprawcy i dokonali kradzieży miodu wartości 2100 zł.

Na Osiedlu Jagiellonów w Lubaczowie zatrzymany został rowerzysta Dariusz P. W jego krwi było 2,26 promila alkoholu.

Łukaszowi S. z Płazowa na bazarze w Lubaczowie skradziono portfel wraz z dowodem osobistym, prawem jazdy, legitymacją studencką i 30 zł.

W Krowicy Hołódowskiej w samochodzie „VW Polo” Stanisławowi B. nieznani sprawcy pocięli dwie opony.

W Dolinach Janinie B. skradziono 500 euro, telefon komórkowy „Nokia 5110” wartości 600 zł. Sprawcą kradzieży był Marcin K. z Osiedla Sapichy w Oleszycach.

21 lipca - W Oleszycach policja zatrzymała Mikołaja K. Zajmował się nielegalnym handlem papierosami bez akcyzy.

22 lipca - W lesie Leśnictwa Krowica przez Wiesława F. i Stanisława Z. wyciętych zostało 9, 66 m sześciennych drewna.

W parku w Lubaczowie o godz. 21.30 Wojciech M. z Lubaczowa pobił Stanisława K. z tej miejscowości.

23 lipca - Policjanci z Narola zatrzymali kłusowników, którzy na stawach w Rudzie Różanieckiej odławiali karpia. Akcja przeprowadzona przy pomocy pracowników gospodarstwa rybackiego przebiegła bardzo sprawnie. Na nielegalnym połowie przylapani zostali dwaj mieszkańcy powiatu lubaczowskiego: 46-letni Tadeusz i 47-letni Roman. Pierwszy z zatrzymanych został już na tym złapany po raz czwarty. Straty spowodowane przez kłusowników oceniono na ok. 550 zł.

Synagogi

- rozmowa z Prezesem Stowarzyszenia na Rzecz Odnowy Zabytków Kultury Żydowskiej w Powiecie Lubaczowskim Bogdanem Lisze

O potrzebie ratowania dziedzictwa kultury żydowskiej mówi się ostatnio w Polsce coraz więcej. Ma na to wpływ zmiana światopoglądu większości Polaków w kwestii stosunków polsko-żydowskich. Budowane przez lata stereotypowe ujęcie Żyda – opierane zazwyczaj na strzępach rodzinnych przekazów, uprzedzeniach, przeinaczeniach i uproszczeniach, powoli odchodzi w przeszłość. Górę bierze trzeźwa ocena historycznych faktów pozbawiona niepotrzebnych emocji oraz refleksja nad upadkiem kulturalnego i materialnego dziedzictwa Żydów zamieszkujących dawniej nasze tereny. Historia polskich Żydów, która jest częścią dziejów Polski sprawia, że coraz więcej osób również na naszym terenie dostrzega potrzebę ratowania tego dziedzictwa. A że jest na naszym terenie sporo do zrobienia nie trzeba nikogo przekonywać. Widać to na każdym kroku – walące się synagogi, czy popadające w ruinę cmentarze. Oczywiście wszystkie działania wymagają środków finansowych. Nierzadko jednak ważniejsze okazuje się ludzkie zrozumienie i akceptacja dla tych działań, które oprócz społecznego oddźwięku, stanowią mogą doskonały element promocyjny naszego terenu.

O potrzebie ratowania materialnych pozostałości po Żydach oraz podejmowanych w tym zakresie działaniach rozmawiamy z Bogdanem Lisze, pracownikiem Muzeum, Prezesem Stowarzyszenia na Rzecz Odnowy Zabytków Kultury Żydowskiej w Powiecie Lubaczowskim, pasjonatem lokalnej historii i znawcą problematyki żydowskiej.

P.Z. Ostatnio na terenie naszego powiatu da się zauważyć swoiste ożywienie w sprawach popularyzowania i ratowania kultury Żydowskiej. Jest to poniekąd twoja zasługa, gdyż jako pracownik muzeum, inicjator założonego niedawno Stowarzyszenia, a także osoba prywatna poświęcając tym sprawom bardzo dużo czasu. Skąd u Ciebie takie zainteresowania?

B.L. Jako młody chłopak niewiele wiedziałem o Żydach. W Narolu gdzie mieszkałem nie ma już domu modlitwy dla tej społeczności, na cmentarzu nie ma nawet kawałka macewy, zaś obraz świata Żydów funkcjonuje jedynie w pamięci narolskich ludzi i kilku zachowanych fotografiach oraz nielicznych krótkich opracowaniach naukowych, bądź artykułach w prasie. Moje zainteresowania zrodziły się w momencie, kiedy przypadkiem odnalazłem dreidel (kostka używana przez Żydów podczas świąt Chanuka). Wówczas nie bardzo wiedziałem, co to jest, ani też, do czego służy. Intrygowały mnie jednak znaki na niej obecne i to pchnęło mnie w kierunku lektury o tradycjach i historii Żydów, którzy jak się dowiedziałem używali owego przedmiotu. Zacząłem również zbierać wszelkie pamiątki kultury żydowskiej oraz notować sobie wszelkie informacje o Żydach w powiecie lubaczowskim. Nie obyło się przy tym od osobistych kontaktów z Żydami i weryfikacji stereotypowego poglądu na ich temat.

P.Z. Weryfikacji?!

B.L. Tak. Brzmi to może dziwnie, ale moje ówczesne wyobrażenia na temat społeczności żydowskiej opierały się na przekonaniu, o że są to na ogół źle ustosunkowani do Polaków ludzie. Cała historia związana jest z Krakowem. Tam po raz pierwszy osobiście mogłem rozmawiać z Żydami, którym udało się przeżyć holokaust. Tam też, przekonałem się, jak mylnie oceniałem tę społeczność. O Żydach mówi się ogólnie, że są jak owoc kakusa – sabra – pospolicie rosnącego w Izraelu, z wierzchu kolczasty i trudnodostępny, a w środku po rozkrojeniu słodki jak dżem, takimi okazali się ostatecznie ludzie, których dane było mi poznać. Dziś na Żydów i sprawy żydowskie patrzę zdecydowanie inaczej i może dlatego chcę działać na rzecz odnowy tego co po społeczności tej pozostało.

P.Z. Weryfikacji?!

B.L. Tak. Brzmi to może dziwnie, ale moje ówczesne wyobrażenia na temat społeczności żydowskiej opierały się na przekonaniu, o że są to na ogół źle ustosunkowani do Polaków ludzie. Cała historia związana jest z Krakowem. Tam po raz pierwszy osobiście mogłem rozmawiać z Żydami, którym udało się przeżyć holokaust. Tam też, przekonałem się, jak mylnie oceniałem tę społeczność. O Żydach mówi się ogólnie, że są jak owoc kakusa – sabra – pospolicie rosnącego w Izraelu, z wierzchu kolczasty i trudnodostępny, a w środku po rozkrojeniu słodki jak dżem, takimi okazali się ostatecznie ludzie, których dane było mi poznać. Dziś na Żydów i sprawy żydowskie patrzę zdecydowanie inaczej i może dlatego chcę działać na rzecz odnowy tego co po społeczności tej pozostało.

(c.d. na str. 8)



Synagoga w Cieszanowie - fot. S. Landau



MARIAN ZATHEY

LATA POWOJENNE

(wspomnienia)

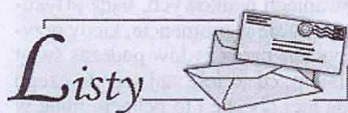
Wszedłem w kontakt z panią Szajowską. Była to bardzo energiczna kobieta, działaczka ruchu ludowego przed wojną i miała poważanie u władz. Wraz z panem Pióro poradziła mi, że maturę trzeba zdać a ubeki mogą temu przeszkodzić i zamknąć o byle co. Poradzono mi, żebym w gimnazjum założył koło „Wici” to się odczepią. Założyłem to koło a w gimnazjum handlowym „Wici” założył Władek Kobiałka. Jakis czas był spokój, pani Szajowska dzielnie nad tym czowała. Kilkakrotnie jeździłem na wieś i tam chętnie te koła powstawały. I to był mój błąd, ponieważ UB bardzo zabiegało aby powstawały koła ZMW zalecane przez PPR. Zakładaniem ZMW zajmował się nieżyjący już Józef Argasiński, ale nie wychodziło mu to. Znowu byłem wzywany do UB, parabelum na stole i wyzwiska „jak ty s... synu będziesz te „Wici” tak szybko zakładał to my ci pokażemy”. Znowu była potrzebna interwencja pani Szajowskiej i pana Pióro. Nareszcie zdaliśmy matury. W domu znalazłem stary atlas Polski i jeżdżąc palcem po nim znalazłem najdalszy zakątek – Szczecin.

I takim sposobem ubeki rozpuścili na cztery strony świata wartościową młodzież lubaczowską. Dobrze wiedzieli, że to pokolenie „kolumbowe” jest zagrożeniem dla komuny tworząc środowisko lokalnego patriotyzmu. Ja się usadowiłem w Szczecinie z zafalszowanym życiorysem aż do 1956 roku. A żyłem przez ten czas jak zając pod miedzą. Na tym nie koniec. W 1949 roku ubeki aresztowali mego brata Zdzisława i Wacława oraz wielu kolegów akowców. Otrzymali wyroki od 8 do 15 lat ciężkiego więzienia we Wronkach, Szamotułach, Sieradzu, Potulicach. Po przeszło siedmiu latach więzienia, upokorzeniach, biciu, głodu w 1956 roku nastąpiły zwolnienia i rehabilitacja. Czy to jest właściwe słowo? To nie tak łatwo można człowieka zrehabilitować. Kiedyś będąc w Lubaczowie u mego brata Zdzisława w niedzielę zauważyłem, że on przyszedł z porannej Mszy do domu i znowu wybiera się do kościoła. Pytam go - Byłeś już na Mszy? - a on mi mówi: „a za Wronki?”.

Na zakończenie chcę złożyć hołd podziękowania naszym Rodzicom, że nas tak wychowali w wierze katolickiej, wierze naszych przodków i w wielkim patriotyzmie. Było nas siedmiu rodzeństwa przed II wojną. Trzech braci chodziło do gimnazjum a miesięczne chesne wynosiło po 30 zł, razem 90 zł. Była to wartość jednej krowy, lub dwóch dobrych garniturów. Na to Ojciec pracował bardzo ciężko ręcznie w warsztacie bo maszyn nie było. Zdarzyło się, że chorował na gripę i wtedy bieda do naszego domu zaglądała.

Mama na codzień dbała o nasze wychowanie. Nie było jej łatwo. Opranie nas wszystkich, bo pralek nie było, noszenie wody ze studni, gotowanie jej w baniaku na kuchni i płukanie bielizny w rzece. Prasowała żelazkiem na węgiel drzewny. Zajmowała się też łataniem ubrań, nicowaniem i ceroowaniem i codziennym nakarmieniem naszej gromady. Mama nauczyła nas wszystkich modlitw i pomagała Ojcu w naszym wychowaniu patriotycznym. Harcerstwo z kolei uzupełniało to wszystko i dawało podwaliny dla służby ojczyźnie. Dziś się zastanawiam jak rodzice to robili. Wtedy były trudne czasy a i dziś jest nie lekko, ale czy dziś ludzie potrafią się tak poświęcać?

Na zakończenie chciałem się odnieść do apelu pana Adama Szajowskiego ze Stalowej Woli co do nazwy gazety pana Ważnego. Kresowiak Galicyjski się przyjął i brzmi swojsko po galicyjsku.



Lektura ostatniego numeru Kresowiaka Galicyjskiego bardziej przypomina mi miesięcznik „Mówią Wieki” niż lokalny periodyk w którym najbardziej powinna być zaangażowana współczesność. Po prostu jest w nim zatrzęsienie od materiałów historycznych. W pełni rozumiem rangę lokalnej tradycji. Sam jestem gorliwym czytelnikiem artykułów Adama Szajowskiego czy pamiętnika Anny Potockiej. Ale w tym wszystkim winne być zachowane pewne proporcje.

Należę do grona młodych czytelników Kresowiaka i odczuwam niedosyt tematyki która mogłaby zainteresować moją generację. A jest o czym pisać. Bezrobocie w naszym mieście dotyka nie tylko absolwentów szkół średnich ale i wyższych. Szereg moich koleżanek i kolegów chociaż jest po studiach nie ma pracy. Jedni ratują się wyjazdami za granicę a inni chwytają się dorywczych prac na miejscu.

A przecież młodzi ludzie pragną cieszyć się z życia, chcą mieć osiągnięcia zawodowe, zdobywać uznanie w środowisku. Życie z dnia na dzień bez wiary w lepsze jutro to koszmar.

Warto więc pisać o tych problemach i szukać jakiegoś wyjścia.

Stanisław Kuźniar - Lubaczów

Synagogi

(dok. ze str. 7)

P.Z. Czy takie działania nie wymagają czasu i ogromnego samozaparcia?

B.L. To prawda. Poświęcam tym sprawom sporo czasu, ale w działaniach tych nie jestem na szczęście osamotniony. Wspiera mnie spora grupa osób, które podzielają te same zainteresowania i podobnie jak ja interesują się kulturą, historią i tradycją społeczności żydowskiej, która kiedyś - przypomnę - stanowiła znaczącą część mieszkańców naszej ziemi. Wśród „zmobilizowanych” pomocników, są nie tylko mieszkańcy powiatu lubaczowskiego, ale również osoby mieszkające poza granicami Polski - potomkowie byłych mieszkańców z Wielkich Oczu, Lubaczowa, Cieszanowa, Naroła i innych miast, których łączy te samo pragnienie odnowienia i przywrócenia świetności zrujnowanym cmentarzom i budowlom żydowskim, które dziś szpecą nie jedno z naszych miast. Gdyby nie Ci ludzie nie udało by się zrealizować wielu dotychczasowych pomysłów i przedsięwzięć, których efekty można już zobaczyć.

P.Z. Możesz powiedzieć na ten temat coś więcej?

B.L. Tak. Pierwsza rzecz, to cmentarz w Wielkich Oczach. Internet pozwolił odnaleźć potomków Wielkoockich Żydów. Tutaj najważniejszą rolę odegrał mój przyjaciel Krzysztof Dawid Majus, zapisał się bardzo poważnie w naszej lokalnej historii, ponieważ wydał niedawno książkę o Wielkich Oczach, notabene prezentowaną w „Kresowiaku”. On też poprzez internet zbierał fundusze na renowację cmentarza żydowskiego w Wielkich Oczach, który ostatecznie społecznym sumptem udało się wystrząść i ogrodzić. Innym efektem naszych działań jest książka pod redakcją prof. Andrzeja Trzcińskiego - „Cmentarz Żydowski w Wielkich Oczach”. Wspomnieć też wypada o działaniach jakie podjęliśmy na rzecz cmentarza w Lubaczowie. Nie tylko udało się go posprzątać, ale również przygotować do inwentaryzacji nagrobków, której podjęła się Pani Ewa Flörshheim z Izraela. Podobne działania dotyczą również cmentarza w Oleszycach.

P.Z. Ale czy nie uważasz, że działania jednostkowe na niewiele się zdadzą, jeśli pod uwagę weźmie się potrzebę odremontowania pozostałych na tym terenie Synagog? Czy w tych sprawach nie jest potrzebne wsparcie ze strony władz i instytucji?

B.L. Ogrodzenie cmentarza, a remont Synagogi to dwa nieporównywalne zadania. Trudno w takim przypadku mówić o działaniach jednostkowych. Same formalności prawne związane z przeniesieniem praw własności z Gminy Żydowskiej na którąkolwiek z gmin w naszym terenie nie załatwi przecież jedna osoba. Po za tym władze Izraela oraz przedstawiciele Gminy Żydowskiej, które są zainteresowane załatwieniem kwestii remontu Synagog, inaczej rozmawiają z instytucją, czy gminą, a inaczej z pojedynczymi osobami. Dlatego wspólnie z grupą przyjaciół i osób, którym leży na sercu stan zabytków, wysłaliśmy z inicjatywą powołania Stowarzyszenia na Rzecz Odnowy Zabytków Kultury Żydowskiej w Powiecie Lubaczowskim.

P.Z. Czym ma się zajmować to Stowarzyszenie?

B.L. Mówiąc najogólniej ma działać na rzecz odnowienia i opieki nad zabytkami kultury żydowskiej, głównie cmentarz, synagog, miejsc zagłady oraz innych obiektów związanych z historią i kulturą Żydów na terenie powiatu lubaczowskiego. Nie są to oczywiście wszystkie cele, jakie postawiliśmy przed sobą. Równie istotne okazuje się tu budowanie wzajemnego porozumienia i rozwijanie współpracy pomiędzy Żydami a Polakami. Przykłady tej współpracy są już widoczne, odwiedzający nas goście z Izraela korzystają z pomocy uczniów liceum lubaczowskiego, którzy z jednej strony są ich tłumaczami, a z drugiej sami mają możliwość szlifowania języka angielskiego. W przyszłości planujemy rozszerzenie wzajemnych kontaktów, w ramach wchodzą wyjazdy do Izraela i wymiana kulturalna na poziomie szkół gimnazjalnych i średnich.

Oczywiście celem strategicznym Stowarzyszenia, staje się pozyskanie funduszy na ratowanie obiektów kultury żydowskiej. W tym zakresie nawiążemy współpracę ze wszystkimi możliwymi instytucjami i organizacjami zarówno w Polsce jak i za granicą, które skłonne będą włączyć się w ten proces. Pragnę podkreślić, że na naszym terenie zachowało się 3 synagogi w Cieszanowie, Starym Dzikowie i Wielkich Oczach, oraz cmentarze w Starym Dzikowie, Narołu, Oleszycach, Lubaczowie, Cieszanowie i Wielkich Oczach. Jest więc sporo do zrobienia.

P.Z. Sporo do zrobienia - ale czy uda się coś z tego zrealizować?

B.L. Zdajemy sobie sprawę, że środki jakie potrzebne byłyby na wyremontowanie jednak tylko Synagogi urastają do znacznych kwot. Jest jednak wiele osób, potomków żydowskich rodzin z tego terenu oraz organizacji, które deklarują pomoc. Problem w tym - jak już wspominałem - że pojedyncze osoby nie mogą być stroną w rozmowach o pieniądzach. Jeśli ktoś coś zamierza ofiarować, żąda solidnej gwarancji na to, że ofiarowane środki nie zostaną zmarnowane. Stowarzyszenie daje taką gwarancję. Posiadamy własne konto i odpowiedzialnych, uczciwych ludzi. Jestem po za tym optymistą. Wieżę, że któregoś dnia, zrujnowane synagogi nie będą nas straszyc, ale staną się obiektami użyteczności publicznej dla potrzeb nas wszystkich.

P.Z. Podzielim pana optymizm i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał - Piotr Zaborniak

Adam Szajowski

„Ogniem i mieczem” a sprawa lubaczowska Kniaziówna z cieszanowskim rodowodem

(część IV)

Wołodyjowski z Zagłobą i Rzędzianem uwalniają Helenę z rąk Horpyny, uczestniczą w obronie twierdzy Zbaraż przed wojskami tatarskiego Chana i Chmielnickiego. Ginie Podbięta, Skrzetuski przedziera się z wiadomościami (i prośbą o pomoc dla obleganych) do króla Jana Kazimierza, tam odnajduje Rzędziana i swoją Miłość, a Bohuna puszcza wolno. Dla głównych bohaterów wszystko kończy się dobrze. Tyle w telewizyjnym odcinku z wydarzeń sprzed lat, tymczasem Cieszanowie...

Co ma piernik do wiatraka a Cieszanów do Sienkiewicza? Tym, którzy do czytania Kresowia włączyli się teraz i nie czytali poprzednich 3-ch części artykułu, wyjaśniam w skrócie, że w Cieszanowie urodziła się i mieszkała z rodzicami późniejsza (i do dzisiaj) babcia aktorki Izabeli Skorupko, odtwórczyni roli kniaziówny Heleny Kurcewiczówny w filmie Jerzego Hoffmana „Ogniem i mieczem”. Zatem wróćmy do korzeni. Tym razem do lat przedwojennych i dalszych losów tej rodziny a przy okazji również do wielu sytuacji z życia miasteczka.



Chór kościelny, Cieszanów 1935

Cieszanów wówczas, na grubo przed wojną... jakim był? Każdej niedzieli młodzież zbierała się przed mszą w szkole i parami wraz z nauczycielami udawała się na nabożeństwo do Kościoła, gdzie posłuszenie po lewej stronie stawały dziewczęta, po prawej chłopcy. Na organach grał organista Jan Szajowski, wuj Jany [a mój dziadek]. Miasteczko posiadało własny kościelny chór, prężnie działały katolickie stowarzyszenia młodzieży męskiej i żeńskiej (KSMM i KSMŻ). Twórcą cieszanowskiego stow. męskiego, mającego swą siedzibę w drewnianym budynku parafialnym na rogu ul. Dachnowskiej i obecnej przy dworcu autobusowym, tj. w tzw. Domu Ubogich, był w 1931 r. ks. Izidor Węgrzyniak (aresztowany w Cieszanowie przez Niemców i

zamordowany w 1942 r. w Dachau). Drużyna żeńska miała swą siedzibę w sali budynku Seminarium Nauczycielskiego. Pierwszym prezesem KSMM w latach 1931-1933 był Eugeniusz Szajowski s. Jana [mój ojciec, obecnie 90-letni], a następnie do 1937 r. Stanisław Szajowski s. Piotra.

Uroczystości obchodzono święta 3-go Maja i 11-go Listopada. W tych dniach uczniowie nosili kokardki w klapach i otrzymywali chorągiewki w barwach narodowych, odbywały się spotkania i wiece na Rynku. Czuło się atmosferę ogólnego święta i powagi. Na balkonie sądu zajmowała miejsce osoba wygłaszająca okolicznościową mowę (wówczas był to Oleński, zarządcą majątku barona Wattmana z Rudy Różanieckiej). Pod balkonem, na przyległym placu Rynku gromadzili się mieszkańcy Cieszanowa, klasy szkolne i seminarialne, poczty sztandarowe Związku Strzeleckiego, Staży Pożarnej i in. organizacji.

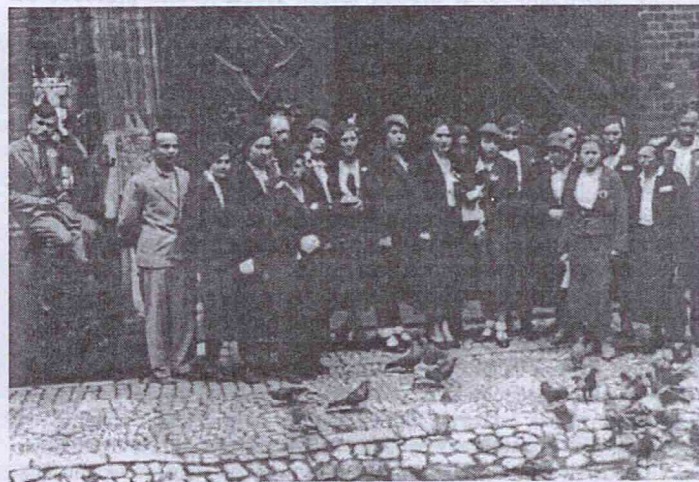
Żydzi z Żydówkami chodzili na spacer „w Kasztany”. Kto z Cieszanowa,



Uroczystości rocznicy uchwalenia Konstytucji 3-go Maja, Cieszanów 3.05.1928 r., Rynek, przed budynkiem sądu

to wie, że chodziło o część ulicy od końca Dworskiej po nowosielski dwór Gnoińskich, obsadzoną ogromnymi kasztanami, dającymi swym cieniem nastrój alei, promenady do spacerów, jazd rowerowych, zabaw i spotkań zakochanych. Często dla psoty, dziewczyny i chłopaki chwytały za miotły i

właśnie wtedy brali się za zmiatanie ulicy, niby to przed niedzielą żeby było czysto, ale tylko po to, by nakurzyć „parchom”. Oczywiście dziś to naganne jak i wówczas, ale i takie kawały czynione były. We wszystkim tym uczestniczyła również Jana Szajowska (późniejsza babcia Izabeli Skorupko), jako że wesołość i psoty miała wypisane w charakterze i bardzo do niej pasowały. Udzielała się w harcerstwie, uczestniczyła w zajęciach drużyny sokolej, a w 1934 r. brała udział w składzie cieszanowskiej delegacji na zjazd tej organizacji w Krakowie.



Zjazd sokolstwa, delegacja młodzieży cieszanowskiej, Kraków, 17.06.1934 r.

W składzie delegacji znajdują się m.in. (nie zachowano kolejności z fot.): Stanisława Piotrowska, Maria Żdan, Stanisława Szajowska („od Galadów”), Maria Tomasikiewicz, Helena Maciejko, Jadwiga Żdan, Janina Szajowska (c. Józefa), Michalina Ciepla, Anna Chomań, Franciszka Szajowska („od Szmendziów”), Ninka Białozorska, Zofia Zarebska, Kazimiera Szajowska („od Staszków” c. Franciszka), Marian Cieckiewicz, Józef Cieckiewicz, Edmund Puk i prowadzący grupę Marian Meinhart.

Wspomina obecnie 90-letnia Kazimiera Zajac, jak to naprzód była wysłana na kurs instruktorski do majątku Zamojskiego do Kozłówki, a potem będąc już sokolą instruktorką, wraz z innymi (Stasia, Józek, Mania, Frania, Jana, Wisia, Marysia, Ninka, Michasia, Hela, Mundek, Jadzia, Manek jeden i drugi i in.) ćwiczyła układy taneczno-gimnastyczno-sportowe do tego wyjazdu, przy dźwiękach cieszanowskiej orkiestry Jana Mowczki. Wszystko musiało być opanowane perfekcyjnie, ruchy płynne, zgrabne, równe i w takt muzyki. W końcu chodziło o występ w Krakowie... występy pod Wawelem... to nie Cieszanów. Trema była niesamowita, ogromna odpowiedzialność, należało się godnie prezentować i należycie reprezentować swoje środowisko. Na szczęście wszystko udało się znakomicie.

W maju starsze kobiety, młodzież (głównie żeńska) i dzieci, gromadzili się przy przydrożnej Figurze Św. Jana, gdzie na podwyższeniu (górcie), tuż przy płocie rodzinnego domu rodziców Janiny śpiewali pieśni maryjne. Było to już wieczorem, do szarówki, po pracach w polu i w obejściu. W tych modlitwach uczestniczyła również Jana z matką. Śpiewy niosły się w dół ku „Starej targowicy”, „na Kurhan”, „w Kasztany”, „ku Dworowi Rojowskich i Gnoińskich”. Słychać je było w tej ciszy niczym niezamąconej, opłatały Figurę i niosły się niewinnie ku niebu. Obecnie (przełom czerwca i lipca), trwają prace związane z przesunięciem tej historycznej dla Cieszanowa Figury z linii jezdni ul. Mickiewicza (Cieszanów - Nowe Siolo), o kilka metrów w tył, na pobocze. Świętemu Janowi jakby smutniej. Ogołocony z drzew, pozbawiony możliwości „kierowania ruchem”, przyzwyczajony do nowego miejsca, czekając na swój ostateczny wystrój. Z czasem przywyknie... i On i My.

[Zainteresowanych ciągiem dalszym, zapraszam do kolejnego numeru Kresowia].

Z uwagi na fakt, że artykuł opisuje wydarzenia rodzinne i tekst jest przeznaczony wyłącznie dla czytelników „Kresowia...”, wszelkie prawa do jego treści są zastrzeżone, wykorzystywanie w innej prasie i wydawnictwach bez zgody autora zabronione. Stalowa Wola, lipiec 2003.

PANI NA OLESZYCKIM ZAMKU

(odcinek IV)

Nim opiszę podróż do Włoch, powrócić muszę do kilku rzeczy dawniejszych o których pisać zapomniałam. – Nie pisałam o stosunkach majątkowych Oleszyc. Otóż rzecz się miała jak następuje. Przychodzi pojęcie w jakim stanie te Oleszyc odebrał. Żalu żadnego do moich drogiej Rodziców za to mieć nie mogłam. Ojciec mój, latami chory, nie wyjeżdżał nigdzie i latami nie wychodził z pokoju. Oleszyc więc nikt z rodziny nie odwiedzał przez 33 lat! Pamiętam wybornie jako dziecko, że ile razy ktoś z oficjalistów z dalszych dóbr przyjeżdżał, mój ojciec zawsze mawiał: „Pamiętajcie, że mi przede wszystkim chodzi o to, żeby moje dzieci, gdy przyjdzie im majątek na siebie odebrać, nie odebrały go w stanie upadku i ruiny! Budynki mają być utrzymane i odnawiane jak najstaranniej; nie chcę aby moje dzieci musiały wkłady robić wielkie, nowe budynki stawiać itd. Więc raczej odbywać się będą mniejszymi dochodami, ale niech budynki i wszystko będzie w dobrym stanie”.

Jakże strasznie na opak temu poleceniu postąpiono! Nie była to wina rządcy, którego w Oleszycach zastaliśmy, bardzo porządnego człowieka, pana Mroczkowskiego, tylko ówczesnego administratora ogólnego i pełnomocnika mego Ojca. Pan Mroczkowski miał kopie swoich listów do niego, gdzie mu przedstawia opłakany stan budynków, żądając pozwolenia do zatrzymania czegoś z dochodów do reperacji tychże. No i odpowiedzi, które nam pokazywał brzmiały: „Pańska rzecz dawać dochody, a o resztę się nie troszczyć; niech sobie przyszliznę głowę nad budynkami suszą. Panu do tego nic”. To „nic” odbiło się na nas w sposób okropny! Wszędzie zaciekało, wszędzie gnily części budynków, płoty rozebrane, bramy poodrywane, inwentarza martwego nie! Pożyczało się na wsi plugi, brony, łopaty i widły! Ziemia zdziczała, zachwaszczona, łąki mokre.

Jedną a raczej dwie rzeczy były istotnie ładne co się zowie, a temi był las i żywy inwentarz. Lasu pilnował stary leśniczy Górecki, który czytać i pisać nie umiał, ale strzegł wiernie i wycinał tylko co rocznie wypadało. Co do inwentarza, jeszcze na dwa lata przed naszym przyjazdem do Oleszyc była śliczna stadnina i podobno 25 klaczy rasowych na matki. No i ktoś z koniem nosatym przyjechał, zaraza się zaczęła i wyszłelali wszystkie te araby!

Co do krów rozmiłowany był pan Mroczkowski w chowie bydła i było ono śliczne, holenderskie. Nie mogliśmy się nacieszyć tymi krówkami ślicznymi oswojonymi ogromnie, łaszczącymi się do ręki. Ale i to nam się zostało nie miało. Mąż mój pojechał na wystawę do Paryża, w czasie jego nieobecności były słoty i wylewy, siana zamulilo i zdaje się wskutek tego przyszedł u bydła karbunkuł śledziony. Wydzichało razem krów, koni, świń 90 sztuk!

Na wszystkie inwestycje, budowy budynków, kupno inwentarza nie było innego ratunku jak ciąć las! Dlatego więcej go wycięliśmy niż byśmy byli pragnęli bo płacem opłacaliśmy decyzje każdego cięcia tych ogromnych przesłanych sosn i debów. / Ale przed sprzedażą Oleszyc jeszcze jednak 80.000 żydzi za las dawali. Zresztą wszystko zakulturowane zostawiliśmy/.

Ale wracam tu do zarazy, która nam bydło zabrała, bo ważną rzecz mam o tym do powiedzenia. Oddawna nie zajmuję się gospodarstwem w chwili, co to pisze, i nie wiem, czy dziś karbunkuł śledziony jest uważany /jak być powinien / jako tak bardzo zaraźliwy. Ale za owych czasów, pokazuje się, że za taki nie uchodził, i chcę tu okazać jakie to było mylne zapatrywanie. Pierwsza sztuka która padła, był olbrzymi przepysznym buhaj; padł jak od pioruna rażony, a że to było w lipcu w ogromne upały, pomyślano, że to był szlag. Inne sztuki zaczęły padac w kilka tygodni czy miesięcy później. Mój Mąż sprowadził komisję, zjechał weterynarz, fizyk powiatowy, prócz miejscowego lekarza. Wszyscy zgodzili się na to, że to karbunkuł śledziony, dali jakieś prewencyjne środki, które tyle pomogły co kadzidło umarłemu, a na zapytanie nasze, czy skóry z takiego bydła używać i sprzedawać można, odpowiedzieli, że tak!

Na szczęście Staś był w takich rzeczach do przesady ostrożnym i nie tylko, że z tego pozwolenia nie skorzystał ale przy sobie ciąć pasy ze skóry na każdej padłej krowie kazał by się nikt na nią nie zlakomił, asystował pogrzebowi każdej sztuki i przy sobie wapnem każdą oblać w dole przed zasypianiem kazał. Ale o buhaju zdechłym kilka tygodni /czy podobno miesięcy/ pierwszej nikt nie pamiętał, nie pomyśleliśmy, że już i on zdechł na tę samą chorobę! Skórę z niego kręcił i wyprawiał bardzo poczywi i lubiany przez nas dworski rymarz. I cóż się dzieje? Nasamprzód ten rymarz dostaje okropnego karbunkuła na karku i mało nie umiera a dziecko mu zostaje i umiera, krowa jego dostaje i zdycha. Moja matka darowuje mu inną krowę, jako staremu słudze i ta do paru dni zdycha. Ale jeszcze nikomu nie przychodzi na myśl prawdziwa przyczyna tego wszystkiego. Nareszcie wybiera mój Mąż ze stadniny śliczną czwórkę bułanków do ujeżdżania, kładą trendzle czy uździenice ze skóry tej zrobioną na jednego z tych koników, we 24 godzin koń już nie żyje, a parobek leży na karbunkuł, drugi koń i drugi parobek to samo, i już nie wiem czy przy czwartym czy przy trzecim koniu i parobku dopiero straszna prawda wpadła w oczy i zakopano te trendzle i wszelkie resztki tej nieszczęsnej skóry; i dziękowaliśmy jeszcze Bogu, że z ludzi nie umarł żaden, choć ciężko chorowali, prócz biednego dzieciątka rymarza. Pomyśleć teraz, co by się było stało, gdyby mój Mąż korzystając z pozwolenia komisji był sprzedał 90 sztuk skór zarażonych! Na całą Galicję byłaby się zaraza rozeszła!

Anna Potocka



Nowy Sezon 2003/2004 w regionie

3 sierpnia o godz. 16.00 w Łukawcu nastąpiła inauguracja nowego sezonu w naszym powiecie. „Unia” Łukawiec dosyć niespodziewanie ograła jednego z faworytów V ligi „Żurawiankę” Żurawica 2-1 a pierwszą bramkę nowego sezonu strzelił Bogusław Kubis, drugą Józef Herda i Łukawiec może cieszyć się z 3 jakże cennych punktów. W Narolu natomiast debiut miejscowej drużyny nie należał do udanych, ale remis z mocną drużyną z Ostrowa także cieszy. Pierwszym trafieniem dla „Roztocza” może pochwalić się Mariusz Mazur. W V lidze okręgowej „Roztocze” Narol jako beniaminek i Unia Łukawiec będą toczyły boje z: Huraganem Gniewczyna, Bizonem Medyka, Łękiem Ostrów, Żurawianką Żurawica, Startem Mirocin, Polonią II Przemyśl, Błękitnymi Grzęsca, Golbaluxem Wiązownica, Orłem Przeworsk, Piastem Tuczępy, Czuwajem Przemyśl, LKS Skołoszów, Budowlanymi Szówsko i Startem Pruchnik.

Klasa „A” rozpocznie 10 sierpnia a grać w niej będą: Pogoń-Sokół Lubaczów, Zdrój Horyniec, Czarni Oleszyc, Huragan Basznia Dolna, Walter Opaka, Start Lisie Jamy, Zryw Młodów, Roztocze Ruda Różaniecka, Rolnik Wólka Krowicka, Juwenia Cieszanów, Ursus Dachnów, Victoria Stary Dzików, Mięksisz Nowy (beniaminek) oraz Gwiazda Wielkie Oczy (beniaminek okazał się lepszy w bezpośrednich spotkaniach z drużyną z Futtor i awansował z drugiego miejsca).

W Klasie „B” grupy lubaczowskiej występować będą: Błękitni Futory, Czerwoni Cewków, Ryszkowa Wola, Graniczni Krowica, Leśnik Plazów, LKS Mołodycz, Orkan Zaluże, Błękitni Zalesie, Zabiła Stare-Sioło. W następnym numerze terminarz tej klasy!

Terminarz rozgrywek rundy jesiennej sezonu 2003/2004

10/08/2003

II kolejka V liga

Start Pruchnik – Unia Łukawiec -
Żurawianka Żurawica – Roztocze Narol -

I kolejka Klasa „A”

Pogoń-Sokół Lubaczów – Start Lisie Jamy -
Rolnik Wólka Krowicka – Zdrój Horyniec..... -
Czarni Oleszyc – Ursus Dachnów..... -
Huragan Basznia – Zryw Młodów..... -
Victoria Stary Dzików – Juwenia Cieszanów..... -
Mięksisz Nowy – Walter Opaka..... -
Gwiazda Wielkie Oczy – Rozt. Ruda Różaniecka..... -

17/08/2003

III kolejka V liga

Unia Łukawiec – Budowlani Szówsko -
Roztocze Narol – Start Pruchnik -

II kolejka Klasa „A”

Walter Opaka - Pogoń-Sokół Lubaczów..... -
Zdrój Horyniec – Czarni Oleszyc..... -
Juwenia Cieszanów – Ursus Dachnów..... -
Ruda Różaniecka – Huragan Basznia..... -
Zryw Młodów – Rolnik Wólka Krowicka..... -
Start Lisie Jamy – Gwiazda Wielkie Oczy..... -
Victoria Stary Dzików – Mięksisz Nowy..... -

24/08/2003

IV kolejka V liga

Czuwaj Przemyśl – Unia Łukawiec -
Budowlani Szówsko – Roztocze Narol -

III kolejka Klasa „A”

Pogoń-Sokół Lubaczów – Victoria Stary Dzików..... -
Ursus Dachnów – Zdrój Horyniec..... -
Czarni Oleszyc – Zryw Młodów..... -
Wólka Krowicka – Ruda Różaniecka..... -
Huragan Basznia – Start Lisie Jamy..... -
Mięksisz Nowy – Juwenia Cieszanów..... -
Gwiazda Wielkie Oczy – Walter Opaka..... -

Opracował: Krzysztof Młodowiec

OBWODNICA

W dniu 22.05.2003 w Urzędzie Gminy i Miasta w Cieszanowie odbyło się spotkanie przedstawicieli Podkarpackiego Zarządu Dróg Wojewódzkich (PZDW) i władz gminy w sprawie budowy obwodnicy na drodze wojewódzkiej Jarosław – Bełżec na odcinku od ul. Sobieskiego do ul. Kościuszkowskiej w Cieszanowie.

Temat budowy obwodnicy w Cieszanowie nie jest nowy, pomysł wykonania połączenia drogowego ulic Sienkiewicza i Kościuszkowskiej, zrodził się już w latach osiemdziesiątych. Z ówczesnych planów zagospodarowania przestrzennego wynikało, że na obrzeżach miasta powstanie węzeł komunikacyjny, łączący nie tylko trasę Jarosław – Bełżec ale również połączenie w kierunku Biłgoraja. Przesłanki, jakie już wówczas przemawiały za tą inwestycją nie tylko nie zmieniły się, ale z upływem lat jeszcze bardziej uwidoczniły i nasiliły. Niemal każdy mieszkaniec gminy wie, że skrzyżowanie obok kościoła w Cieszanowie nie należy do bezpiecznych. Bezpieczeństwa tego nie zapewnia nawet ograniczenie prędkości do 40 km/h, nie mówiąc już o sytuacji, podczas której kierujący pojazdem osobowym spotka się na zakręcie z nadjeżdżającym samochodem ciężarowym. Ciasny zakręt nie raz był przyczyną kolizji i stłuczek. *Miejsce niebezpiecznych na trasie biegnącej przez centrum miasta – mówi Z-ca Burmistrza W. Kudyba – jest wiele. Ale tylko mieszkańcy*



śsadiujących z tą droga domów wiedzą, co naprawdę znaczy jej sąsiedztwo. W chwili obecnej problemem jest już nie tylko hałas wywołany natężeniem ruchu, ale również drgania i wibracje, które sprawiają, że w budynkach położonych najbliżej drogi widać postępujący proces pęknięcia ścian i elewacji.

Powody jakie przemawiają za budową obwodnicy można by mnożyć, cokolwiek byśmy jednak nie powiedzieli, decydujący głos w tej

sprawie zawsze należał do właściciela dróg, a jest nim Podkarpacki Zarząd Dróg Wojewódzkich w Rzeszowie. O przyspieszeniu prac, a właściwie przypomnieniu sobie o cieszanowskiej obwodnicy, zdecydowało – jeśli można tak powiedzieć – „cudze nieszczęście”. Okazuje się bowiem, iż to co dla większych miast jest prawdziwą zimą, dla Cieszanowa nie jest takim problemem. Chodzi o grunty pod przyszłą obwodnicę. Projektowana obwodnica w Cieszanowie ma liczyć ok. 1,5 km., co w praktyce oznacza stosunkowo małą ilość działek pod wykup i niewielkie formalności prawne z tym związane. Tymczasem w miastach takich jak Jarosław czy Przeworsk, które aż się proszą o porządną obwodnicę, w rachubę wchodzi olbrzymie połacie gruntu oraz ciągnące się latami formalności z ich wykupem.

Wszystko to sprawiło, że Podkarpacki Zarząd Dróg wystąpił z inicjatywą otwarcia na nowo sprawy cieszanowskiej obwodnicy. Inwestycja podzielona została na etapy. I tak do końca 2004 roku przygotowana zostanie odpowiednia dokumentacja techniczna, a w 2005 nastąpi wykup gruntów w pasie projektowanej obwodnicy oraz zakończenie wszystkich procedur formalno-prawnych związanych z przygotowaniem inwestycji. W myśl ustaleń na władzach gminy spoczywać będzie sprawa wykupu lub zamiany budynków, które w projektowanym pasie drogi należało będzie wyburzyć, zaś wykupem gruntów zajmie się PZDW. Planowany termin rozpoczęcia prac przewidziano na rok 2006, a zakończenie robót zaplanowano na 2007.

W zawartych z władzami gminy porozumieniu PZDW uzależnia wprowadzenie realizacji całego przedsięwzięcia od uzyskania środków z funduszy strukturalnych, ale i tak można powiedzieć, że Cieszanów nigdy nie był tak blisko zrealizowania marzenia o obwodnicy.

Piotr Zaborniak

80-LECIE OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ W CEWKOWIE

Przy licznych udziale społeczności wsi, gminy, zaproszonych gości obchodzono w Cewkowie 80 rocznicę powstania OSP. Wszyscy przybyli wzięli udział w polowej mszy świętej odprawionej przez księdza proboszcza **Mieczysława Kornagę**, który też dokonał poświęcenia sztandaru. Proboszcz w wygłoszonym kazaniu z uznaniem mówił o strażakach podkreślając ich ofiarność, bezinteresowność, ciągłą gotowość spieszenia z pomocą i ich zaangażowanie w pracach przy kościele.

Po nabożeństwie dalsze uroczystości odbyły się na placu przed remizą strażacką. Tutaj komendant kompanii honorowej **Edward Pokrywka**, po jej marszu powitalnym, złożył meldunek członkowi Zarządu Głównego ZOSP RP **Edwardowi Dziadule**. Po wciągnięciu przy dźwiękach hymnu narodowego flagi państwowej na maszt, nastąpił najbardziej podniosły moment uroczystości. **Edward Dziadula** naczelnikowi OSP w Cewkowie **Józefowi Dudzie** wręczył sztandar nadany przez ZW ZOSP RP w Rzeszowie wypowiadając przy tym słowa: „W imieniu Zarządu Wojewódzkiego ZOSP RP wręczam sztandar Waszej jednostce jako wyraz uznania za Waszą ofiarną pracę”. Naczelnik odbierając sztandar uklęknął i powiedział: „Ku chwale Ojczyzny!” Z kolei przekazując go pocztowi sztandarowemu wymówił słowa: Strzeżcie honoru tego sztandaru jak źrenicy oka”. Na co mu odpowiedziano: „Honoru tego sztandaru nie splamimy”.

W kolejnym punkcie uroczystości prezes Zarządu Powiatowego ZOSP RP w Lubaczowie **Józef Michalik** i **Edward Dziadula** dokonali aktu dekoracji sztandaru Złotym Medalem za Zasługi dla Pożarnictwa, a kilku strażaków otrzymało wysokie odznaczenia resortowe. Zaproszeni goście, jak też mieszkańcy wsi, gminy, celem upamiętnienia uroczystości dokonali wbicia pamiątkowych gwoździ w drzewce sztandaru.

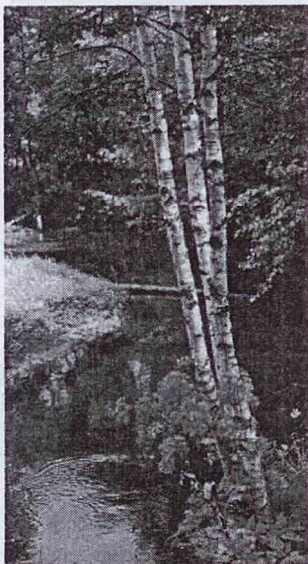
Ks. Mieczysław Kornaga poświęcił nowo otrzymany samochód „Jelez”. Wprawdzie pojazd ten został skarosowany, to poza podwoziem jest w nim wszystko nowe. Dysponując zbiornikiem na 5 tys. litrów wody i autopompą o wydajności 4 tys. litrów wody na minutę oraz odpowiednim oprzyrządowaniem przystosowany jest do wszystkich czynności strażackich.

Uroczystość którą prowadził prezes ZG ZOSP w Starym Dzikowie **Leszek Król** uświetniła kompania honorowa z Cieszanowa pod dowództwem **Edwarda Pokrywki** i **Stanisława Janiszewskiego**.

OSP w Cewkowie na trwale wpisała się w tradycję wsi. Strażacy zawsze wykazywali się odwagą i poświęceniem w ratowaniu domostw a nawet ludzi. To oni byli też inicjatorami wielu akcji społecznych stawiających sobie za cel rozwój gospodarczy i kulturalny wsi. A ostatnim ich wielkim wyczynem było wybudowanie nowoczesnej remizy strażackiej, w której mieści się również dom kultury. Wszyscy strażacy z OSP z Cewkowa słyną z zaangażowania. Ale do najbardziej ofiarnych należą: **Jan Wach**, **Zbigniew Nieckarz** i **Józef Duda**.

Korzystając z okazji informujemy że 24 sierpnia na stadionie w Lubaczowie o godz. 14 odbędzie się Powiatowe Zawody Sportowo-Pożarnicze.

Marek Wrzos



HEJ, LESIE!

Najlepiej czuję się w lesie. W wielkim lesie, dalekim od miasta i ludzi. Od ich rąk, butów i oczu, od których umiera mój las.

Jestem w tym lesie, w miejscach mi tylko znanych. Czy na pewno – nie wiem. Chodzę, przenikam między brzezina wyrosniętą kadrami z filmu Wajdy, potykam się o źle zamaskowane, ukryte przez rębaczy pnie skradzionych im drzew – drewna na ogień, popiół i dym. Zapadam po kolana w doły po wyprużniętych pniach, dawno wymarłych drzew. Płynę w paprociach, to siadam na butwiejących kłodach brzoź o silnej jeszcze prawie do

końca białej korze.

Jestem tu czy nie? Jeśli jestem – dobrze. Jeśli to sen – w takim razie dobry sen, letni. Sen nocy letniej lub marzenie senne uciekiniera ze wsi i miasta. Jeśli za chwilę pojawi się dziewczyna moru – to śnię. Ale nie: nie pojawia się ani ona, ani fraza muzyki z sali koncertowej, ani werset poezji. Nic z radia telewizji, żaden rekwizyt teatru czy antyteatru. Chodzę niemy, odgarniam rzęsy paproci, napinam do wytrzymałości nici pająka przeciągniętych najczęściej na wysokości twarzy. Idę niekoniecznie dalej, idę przed siebie może po błędnym okręgu koła. Aksamit mchu pod nogami, chore dywany ubiegłorocznych liści i tych umarłych przed czasem – tego roku. Żadnych odgłosów ptaków i zwierząt – kliniczna cisza. Cisza sterylna. Bezbolesna. Długotrwała.

– Hej, lesie! – wołam niespodziewanie dla siebie. Hej, ja! Nic nie odpowiada w kotlinie, w bagiennym jarze... Umarło echo. Tu nic nie umiera. Pasma życia i śmierci niezauważalnie przylega do siebie, nakłada się – pachnie spokojem nieskończonej trwałości. Siadam na brzegu drożki. Ślady kół chłopskich wozów, traktorów, zaschnięte odciski końskich kopyt. Indianin odczytałby czas który upłynął. Wiem, że nie odczytam nic. Nie znam czasu.

Zapalam papierosa. Delikatnie skrzypi zapalka. Ciemniej od niej wokół. Dlaczego ciemniej? Skrzypnęła zapalka czy sprężyna szpitalnego łóżka? Kobięca ręka zapala światło.

– Nie śpimy? Źle się czujemy?

– Śpimy i czujemy się dobrze. Jesteśmy w lesie, siostrze. W pięknym lesie, piękniejszym od Piękna.

– Mówi pan głośno i pali papierosa – nie ustępuje. – Dlaczego pan mówi o lesie? Nie wie pan gdzie się znajduje?

– Wiem doskonale – drażnię ją liczbą mnogą, której nie znoszę w żargonie tutejszego domu, najsmutniejszego miejsca pod światłem.

– Niech pan śpi bo pomożemy – grozi uśmiechem.

– Nie trzeba. Wypalę ostrożnie, tu nie wolno palić, wiem o tym.

– Gasi światło, tłumy las, który nagle szarzeje od chmur zaciągających niebo od zachodu. Daleka jest droga do siebie – mówię stając ostrożnie stopą na wyschniętej nie bardzo koleinie. Daleka jest droga nim się odnajdę w ponownym zagubieniu. Może warto skapitulować? Zgodzić się na siebie bylejakiego – bezpieczną – nijakość. I nie będę się trudził omijaniem białych jaśnie pań brzoź. Kilka garści wielobarwnych piguł z rozsypanego wesołego różańca, polykanych regularnie – i wyjdę z lasu o świcie.

– Czy to dobrze, że zawsze idzie się ze sobą? – pytam siostrę.

– Co pan tu robi? Obiecywał pan zasnąć.

– Śnię przecież. Śnię najpiękniejszy sen siostrze – Paprotko.

– Śpią wszyscy, tylko pan wszystkim przeszkadza...

– Odprowadza mnie do salki o ścianach przesiąkniętych cudzym bólem, malowanych co jakiś czas chloropromazyną. Jestem coraz dalej od tej

polany bezdrzewnej o wybujałych paprociach skąd prowadzą leje dróg żłobionych wodą, kołem i kopytem konia. Kłębowisko dróg tutaj. Jak ci chłopcy poznają drogę do siebie, do swych zagród, gdzie czyha na nich los?

– Dobrze, że chmury znów rzędną. Słońce znów widać – różowy dysk rzucony przez Boga na bezdroża Mlecznej Drogi, gdzie zagubiła się Ziemia – moja planeta. Płytką watą mgły, promienie, nieostatnia radość przede mną? Naturalne więc, że korony brzoź bieleją, że brzask się wzmacnia i ogromnie, a soczyste pnie brzoź stają się czarne, hebanowe. Szkoda, że tu nie ma siostry Paprotki. Pokazałbym jej te gęsiego wędrujące brzozy. Warto spróbować wprowadzić ją w ten stan – autentycznie ogromny las brzoź pomalowany na białą rzeczywistą chloropromazyną.

– Siostrze! Siostrze! – Paprotko lub Kruszyńko, wrosłaś w krzesło i nie nie widzisz. Główkę przekreśla ci pasemko żalu za tymi, którzy nigdy siebie nie szukali... Siostrze wróciłem z pięknego miejsca mego snu... chcę ci pokazać wszystko w moich snach.

– Ale pan uparty – nie wierzy mi. Wszystko się w panu potargało. Już myślałam...

– ...że nie wrócę. Wrócę, wróciłem pokazać brzozy. Mają białe głowy jak czepek siostry...

– Delikatnie gra radio. A ona taka bezsilna – siostra Paprotka, siostra Kruszyńka.

– Posłuchajmy głośniej, jak śpiewa Maryla – mówię do niej najgłośniejszej:

„Przytul mnie
Noc jest wielkim, kosmatym
pajakiem
który czyha na nas
Tylko we dwoje
mamy jakąś szansę
Przytul mnie
Lampą nocy mi bądź
Przytul mnie
Prowadź mnie poprzez noc
Tam daleko jest brzask
Aż nie widać go stąd
Przytul mnie
Z Twoich ramion zbuduje schron”

– Coś dla pana – mówi wreszcie, choć absurdalnie.

– Nie, to wszystko dla siostry. Mnie nie trzeba nic.

– Ale szuka pan ratunku.

– Nie ma go w nikim...

– Już nad ranem. Przyjdzie doktor i pomoże panu.

– Sam wrócę do siebie.

– Na polanie od razu wyczuwam niepokój lasu. Ogromnie polana. Rośnie. Drzewa uciekają w popłochu i wreszcie dzieje się nieprawdopodobne: niepokój drzew, moich przecież od dawna brzoź wybucha niespodziewana siłą, niszcząc te łagodne, duże rośliny. Walą się same od siebie. Na siebie. Padają i niszczą. Te przynięcane o korzeniach sterzających bez nadziei chwytają rosnące, motają i pomagają w upadku. I wszystko w ciszy – ani szeptu bólu płaczących koron. Młódź tylko ucieka spod walczących olbrzymów.

– Ocalcie dzieci! – wołam. Ocalcie się. Nikt mnie nie słucha. Moje drzewa jak nierozumni ludzie druzgocą siebie i spokojnych sąsiadów na drzazgi. Strzaskane pnie spływają sokiem, przezroczystą krwią lasu. Panika. muszę ocalić las.

– Chodźcie do mnie! – wołam z nadzieją. – Chroncie się! Wierzą mi. Garną się kto może. Więc zagarniam je do siebie otwartymi ramionami, otwartymi oczami...

– Nie spał całą noc – informuje siostra najstarsza zupełnie białą brzożkę wyrastającą z puszystego dywanu mchu.

– Spałem i ocalałem las. Schronił się we mnie... Teraz wychodzą powoli. Nie wszyscy mieszczą się w wąskich drzwiach.

Augustyn Baran

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. (016) 631 13 32

Wydawca: Agencja Reklamowo-Marketingowa „OPINIA”, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25

Redaktor naczelny: Marian Ważny

Spółcześni współpracownicy: Augustyn Baran, Krzysztof Młodowiec, Adam i Eugeniusz Szajowsky, Ryszard Strzelecki, Lidia Świder, Piotr Zaborniak, Bogdan Lisze.

e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl

Prenumeratę Kresowiaka Galicyjskiego przyjmują jednostki "Ruch" S.A.

Druk: USP "Usługopol", 37-500 Jarosław, ul. Podzamcze 28, tel./fax: (016) 621 63 77

Opracowanie graficzne: STUDIO „B3”, Przemyśl, ul. 3-go Maja 52, tel. (016) 675 54 79